NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — **Do Niemiec:** Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — **W Ameryce:** Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. Kraków, 2 grudnia 1916. Nr. 49

Nowy władca Austryi.

Nowy władca Austryi, cesarz Karol I., przy objęciu rządów wydał następujący manifest:

Do Moich ludów!

Do głębi przejęci i wzruszeni, stoję Ja i Mój Dom, stoją Moje wierne ludy u trumny szlachetnego panującego, w którego ręku przez prawie siedm dziesiątek lat spoczywały losy Monarchii.

Łaska Wszechmocnego, która Go w latach wczesnej młodości na tron wyniosła, dała Mu także siłę, po przez najcięższe cierpienia ludzkie niewzruszenie i niezłomnie aż do późnego wieku starczego poświęcić swe życie obowiązkom, które Mu wytyczyły Jego wzniosły urząd panującego i Jego gorąca miłość ludów.

Jego mądrość, rozwaga i opieka ojcowska stworzyły trwałe podstawy pokojowego współżycia i swobodnego rozwoju i poprowadziły Austro-Węgry z ciężkiej zawieruchy i niebezpieczeństw przez złe i dobre dnie, przez długi i błogosławiony czas pokoju do szczytu potęgi, z którego dzisiaj wraz z wiernymi sprzymierzeńcami toczą walki z nieprzyjaciółmi, którzy je otaczają. Chodzi o to, by dzieło Jego dalej poprowadzić i ukończyć.



Cesarz Karol I.



Cesarzowa Zyta.

Wśród burzliwych czasów wstępuję na czcigodny Tron Moich przodków, który Mi Mój wzniosły Wuj w nieumniejszonym blasku pozostawia.

Cel jeszcze nie został osiągnięty. Nieprzełamany jest jeszcze obłęd nieprzyjaciół, którzy sądzą, że w dalszym oporze zdołają pokonać Moją Monarchię i jej sprzymierzeńców, co więcej, zdruzgotać ich.

Wiem, że ludy Moje podzielają Moją niewzruszoną decyzyę przetrwania w walce, aż do osiągnięcia pokoju, który zapewnia egzystencyę Mojej Monarchii i gwarantuje silne podstawy jej niezamąconego rozwoju.

W dumnem oczekiwaniu wierzę, że Moja bohaterska siła zbrojna, wsparta o pełną poświęcenia miłość ojczyzny Moich ludów i w wiernem braterstwie broni z wojskiem sprzymierzonem, i nadal przy łaskawej pomocy Bożej odeprze wszystkie ataki nieprzyjaciół i sprowadzi zwycięskie zakończenie wojny.

Równie niewzruszoną jest Moja ufność, że Moja Monarchia, której stanowisko mocarstwowe zasadza się na prastarej, w godzinie niebezpieczeństw nowo przypieczętowanej, nierozerwalnej wspólności doli jej obu państw, wyjdzie z tej wojny zahartowana i wzmocniona wewnątrz i na zewnątrz. Ufamy, że ludy Moje są przejęte myślą współprzynależności i ożywione głęboką miłością ojczyzny, łączą się dzisiaj w pełnem poświęcenia niezłomnem postanowieniu odparcia nieprzyjaciół zewnętrznych, współdziałać będą także nad dziełem pokojowego odrodzenia i odmłodzenia, by oba państwa Monarchii wraz z przyłączonym do nich krajem, Bośnią i Hercegowiną, wprowadzić w epokę wewnętrznego rozkwitu, rozwoju i wzmocnienia.

Błagając Niebo o łaskę i błogosławieństwo dla Mnie i Domu Mego, jak niemniej dla Mych ukochanych ludów, ślubuję w obliczu Wszechmocnego, że wiernie zarządzać będę dobrem, które Mi przodkowie Moi przekazali.

Pragnę wszystko uczynić, by w najkrótszym czasie wygnać okropności i ofiary wojenne, by odzyskać dla Mych ludów tak utęsknione błogosławieństwo pokoju, skoro tylko na to pozwolą: cześć Mej broni, warunki życiowe Moich państw i ich wiernych sprzymierzeńców i upór nieprzyjaciół.

Chcę być sprawiedliwym i pełnym miłości księciem Mych ludów, chcę ich konstytucyjne swobody i wszystkie inne prawa wysoko cenić i czujnie dbać o równość wszystkich wobec prawa. Mem nieustannem dążeniem będzie popierać moralne i duchowe dobro Mych ludów, osłaniać wolność i ład, w Mych państwach zapewnić wszystkim zarobkującym członkom społeczeństwa owoce uczciwej pracy.

Jako drogocenną spuściznę po Mym poprzedniku obejmuję przyjazną i serdeczną ufność, jakie spajają lud z Koroną. Ta spuścizna niechaj mi sił doda, bym, jako Panujący, sprostał obowiązkom Mego wzniosłego i ciężkiego urzędu.

Przejęty do głębi wierzę w niezniszczalne siły żywotne Austro-Węgier, owiany serdeczną miłością Mych ludów, chcę Moje życie i Moje wszystkie siły oddać w służbę tego wysokiego zadania.

Koerber m. p. *Karol* m. p.

* * *

W chwili przełomowej nie tylko dla monarchii, ale dla całej Europy, gdy sroży się jeszcze najstraszniejsza w dziejach wojna — objął spadek po cesarzu Franciszku Józefie Jego następca, Karol I. Młody monarcha staje wobec ogromu zadań, które wysunął obecny kataklizm dziejowy, a które mają zadecydować o losach państwa i wszystkich jego ludów. Staje jednak — jak świadczą słowa manifestu — z wiarą w zwycięstwo dobrej sprawy i z serdecznem odczuciem tych ofiar, jakie dla obrony monarchii muszą ponosić wszyscy jej mieszkańcy. „Pragnę wszystko uczynić, by w najkrótszym czasie wygnać okropności i ofiary wojenne, by odzyskać dla Mych ludów tak utęsknione błogosławieństwo pokoju, skoro tylko na to pozwolą cześć Mej broni, warunki życiowe Moich państw i ich wiernych sprzymierzeńców i upór naszych nieprzyjaciół" — oto słowa manifestu, wskazujące drogę, po której zamierza kroczyć nowy monarcha. Znajdą one niewątpliwie serdeczny oddźwięk wśród wszystkich ludów monarchii, które widzą w cesarzu Karolu spadkobiercę wzniosłych zasad panowania Jego poprzednika... Nowy monarcha stwierdza wyraźnie w swym manifeście, że przyjmuje tę spuściznę, że „obejmuje przyjazną i serdeczną ufność, jaka spaja lud z Koroną"...

Z tą ufnością witają nowego władcę Austryi wszystkie ludy monarchii, z tą ufnością i przywiązaniem stają zwłaszcza u progu nowych rządów Polacy. Jak otaczali miłością zmarłego Cesarza, który zawsze był dla nich opiekunem i ojcem, a zakończył swe pełne chwały i sprawiedliwości panowanie — proklamowaniem niepodległej Polski — tak dziś, z tą samą wiarą i ufnością witają Jego Następcę, który ma urzeczywistnić wielkie dzieło swego Poprzednika — wskrzeszenie państwa polskiego.

* * *

Nowy cesarz Austryi urodził się dnia 17. sierpnia 1887 roku w zamku Persenbeug, jako syn zmarłego arcyksięcia Ottona i arcyksiężnej Maryi Józefy, siostry obecnego króla saskiego. Na chrzcie otrzymał imiona: Karol Franciszek Józef Ludwik Hubert Jerzy Otton Maryan. Młodzieńcze lata przepędził przeważnie w willi Wartholz w Reichenau, później w pałacu Augarten w Wiedniu. Pierwsze nauki pobierał od matki i guwernantki. Gdy liczył siedm lat życia, kierownictwo dalszego kształcenia objął hr. Wallis.

Następnie uczęszczał arcyksiążę do gimnazyum Szkockiego w Wiedniu, które ukończył w siedmnastym roku życia. Na rok przedtem wstąpił do pierwszego pułku ułanów, z którego został przeniesiony do siódmego pułku dragonów. Podczas pobytu w Pradze uczęszczał arcyksiążę na uniwersytet tamtejszy aż do roku 1908. Dnia 17. sierpnia 1907 roku arcyksiążę Karol został uroczyście uznany za pełnoletniego i otrzymał swój osobny dwór.

Dnia 21. października zaślubił arcyksiążę Karol księżniczkę Zytę Parma-Bourbon. Zaślubiny odbyły



Cesarz Karol w Galicyi: Cesarz Karol na Wawelu podczas gościny w Krakowie w 1912 r.



Cesarz Karol i cesarzowa Zyta w dniu ślubu

Nowy władca Austryi:



Cesarz Karol z następcą tronu.

się na zamku Schwarzau pod Wiener Neustadt, w obecności cesarza Franciszka Józefa I. i rodziny cesarskiej. Po odbyciu krótkiej podróży poślubnej po Tyrolu, wrócił arcyksiążę do Czech, by pełnić dalej służbę wojskową.

Najstarszym synem pary cesarskiej jest arcyksiążę Franciszek Józef Otto, urodzony 20 listopada 1912 roku, obecny następca tronu. Rodzeństwo następcy tronu tworzą: arcyksiężniczka Adela, urodzona 3. stycznia 1914 roku, arcyksiążę Robert Karol Ludwik, urodzony 8. lutego 1915 roku, tudzież



Sześćdziesiąt ośm lat rządów ces. Franciszka Józefa: Cesarz Franciszek Józef po koronacyi.

arcyksiążę Feliks Fryderyk August, urodzony 31. maja bieżącego roku.

Od samego początku wojny młody arcyksiążę — zamianowany pułkownikiem, a nieco później generałmajorem — znajdował się na froncie wojsk, dając przykład wytrwania, sumienności i dzielności: osobiście badał stosunki i sytuacyę, z której zdawał sprawozdanie cesarzowi, przybywał na najbardziej wysuniętą linię, aby poznać położenie żołnierzy i poinformować się o ich życzeniach.

W połowie 1915 roku zamianowany został arcyksiążę Karol generał majorem i kontradmirałem,



Sześćdziesiąt ośm lat rządów ces. Franciszka Józefa: Cesarz Franciszek Józef przed wstąpieniem na tron.



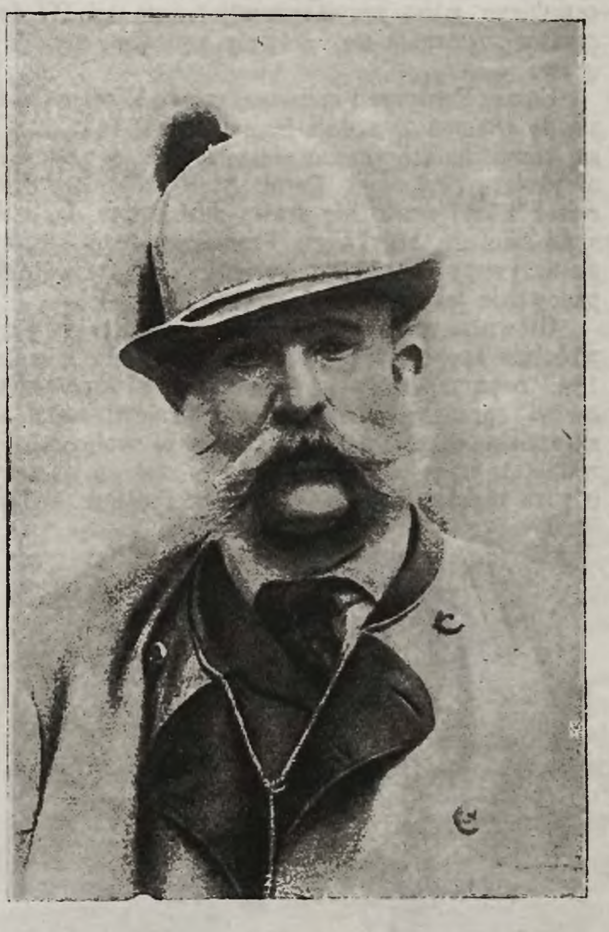
Sześćdziesiąt ośm lat rządów ces. Franciszka Józefa: Cesarz Franciszek Józef z rodzicami i rodzeństwem.

w marcu zaś 1916 otrzymał nominacyę na feldmarszałka porucznika i vice admirała, poczem bezzwłocznie objął komendę korpusu na froncie południowo zachodnim, gdzie z powodzeniem walczył przeciw Włochom, przepędzając nieprzyjaciela z całego frontu. W czasie czerwcowej ofenzywy rosyjskiej arcyksiążę Karol odwołany został z frontu włoskiego i przeznaczony na front wschodni, gdzie cesarz powierzył mu naczelną komendę, mianując go równocześnie generałem kawaleryi i admirałem. Wreszcie 12 listopada bieżącego roku otrzymał arcyksiążę Karol najwyższą rangę wojskową: generał-pułkownika i wielkiego admirała.

Cesarz Karol w Galicyi.

Nowy cesarz Austryi miał sposobność poznać nasz kraj i jego ludność zarówno podczas pokoju, jak i toczącej się obecnie wojny.

Jako następca tronu przybył ówczesny arcyksiążę Karol Franciszek Józef w charakterze rotmistrza dragonów do Kołomyi wraz ze swoją małżonką Zytą w czerwcu 1911 roku. (Drogę z Czech do Kołomyi odbył arcyksiążę konno na czele swego szwadronu, a w podróży towarzyszyła mu młoda małżonka w automobilu). Z tych lat swojej służby wojskowej w Kołomyi pozostawił ówczesny arcyksiążę cenne dla ludności wspomnienia. Zarówno on, jak jego małżonka, otaczani byli w tem mieście powszechnym szacunkiem i sympatyą. Dostojnego dziedzica tronu Habsburgów i jego małżonkę znało całe miasto i okolica. Stąd przybył arcyksiążę ze swoją małżonką 30. czerwca 1912 roku do Krakowa, gdzie zgotowano młodej parze arcyksiążęcej bardzo serdeczne przyjęcie. Dostojni goście zamieszkali w pałacu pod Baranami, gdzie niegdyś gościł także zmarły, nieodżałowanej pamięci cesarz Franciszek Józef I. W starym teatrze podejmowało wieczorem miasto Kraków wysokiego gościa rautem, na którym arcyksięciu ówczesny namiestnik, Dr. Bobrzyński, przedstawił wiele wybitnych osobistości z miasta i kraju. Następca tronu rozmawiał z każdą z przedstawionych mu osobistości w sposób bardzo uprzejmy



Sześćdziesiąt ośm lat rządów ces. Franciszka Józefa: Cesarz Franciszek Józef w stroju myśliwskim.

i pozostawił z tego pobytu swojego w naszem mieście cenne dla wszystkich wspomnienia. Arcyksiążę, na którego powitanie stary Kraków przystroił się odświętnie, zwiedzał jego zabytki historyczne, jak Wawel, kościoły, muzea i tak dalej.

Sześćdziesiąt ośm lat rządów cesarza Franciszka Józefa.

Cesarz Franciszek Józef urodził się dnia 18. sierpnia 1830 roku jako syn arcyksięcia Franciszka Karola. Od urodzenia był presumptywnym następcą tronu, stryj bowiem jego, cesarz Ferdynand, nie miał męskiego potomstwa. Skutkiem tego plan nauki był dla niego ułożony z uwzględnieniem faktu, że młody arcyksiążę obejmie kiedyś panowanie nad



Cesarz Karol w Galicyi: Cesarz Karol jako rotmistrz dragonów przed swym domem w Kołomyi.

Austryą i Węgrami. Pomiędzy nauczycielami, którym powierzono kształcenie i wychowanie przyszłego cesarza, znajdował się także ówczesny radca dworu Zaleski, późniejszy namiestnik Galicyi.

Przyszedł przełomowy rok 1848 z rewolucyą marcową. Lud, oburzony do żywego perfidyą reakcyi, chciał dnia 15. maja zdobyć zamek cesarski. Atak odparto, a dwór cesarski przeniósł się do Insbruku. Arcyksiążę Franciszek Józef musiał przerwać nauki i już poprzednio, a mianowicie w kwietniu 1848 r. wyjechał do obozu generała Radeckiego we Włoszech. W sierpniu 1848 roku cesarz Ferdynand z całym dworem powrócił do Wiednia. Ale rewolucya mimo przysłowiowej łagodności Wiedeńczyków wzmagała się, głównie pod wpływem Węgrów.

Cesarz Ferdynand opuszcza znowu Wiedeń i udaje się do Ołomuńca, a dnia 2. grudnia 1848 r. zrzeka się tronu, na którym zasiąść miał brat jego młodszy, arcyksiążę Franciszek Karol. Atoli arcyksiążę Franciszek Karol zrzekł się prawa następstwa na rzecz syna swojego, arcyksięcia Franciszka Józefa, który, ukończywszy zaledwie ośmnasty rok życia, objął panowanie jako cesarz Franciszek Józef I.

Głównem staraniem młodego cesarza było przywrócenie spokoju w państwie. W tym celu w marcu 1849 roku zapewnił każdemu narodowi samodzielny zarząd spraw swoich, każdemu krajowi nadał namiestnika, oraz uznał wszystkich za wolnych obywateli, znosząc pańszczyznę. Ludy austryackie przyjęły to usamowolnienie z wielkim zapałem, zwłaszcza, że cesarz przyrzekł ponadto „zapewnienie prawdziwej wolności przez ustawy". Mimo wszystkie przyrzeczenia i ulgi, niepokoje we Włoszech i Węgrzech trwały dalej. Włosi znowu zerwali się do boju, lecz powstanie uśmierzył marszałek Radecki. Natomiast na Węgrzech ludność otwarcie i stanowczo dążyła do oderwania się od monarchii. Cesarz udał się na Węgry i złożył dowody osobistego męstwa przy zdobyciu twierdzy Raab. Zwycięstwo to przyspieszyło znacznie nastanie pokoju w całych Węgrzech.



Sześćdziesiąt ośm lat rządów ces. Franciszka Józefa:
Cesarz Franciszek Józef w mundurze marszałka wojsk niemieckich.

Teraz zwrócił się cesarz do uporządkowania stosunków wewnętrznych. Rozporządzeniem z 15. kwietnia 1849 roku, nadał konstytucyę dla Galicyi i uwłaszczył włościan, wydał cały szereg nowych ustaw karnych, zniósł ograniczenia, krępujące przemysł i handel, zrównoważył podatki i specyalnie oddał się pracy, mającej na celu zapewnienie obywatelom dobrobytu i bezpieczeństwa.

Cesarz, idąc za popędem serca, poślubił w roku 1854 księżniczkę bawarską, Elżbietę, drugą córkę króla bawarskiego Maksymiliana.

W ciągu kilku lat następnych niezmordowanie pracował młody monarcha nad dalszem podniesieniem swego państwa. Skuteczną tę pracę przerwało naprężenie stosunków zewnętrznych i wewnętrznych; bardzo poważne następstwa dla Austryi pociągnął za sobą konkordat, zawarty z papieżem w r. 1855 i zatargi z Rosyą i Prusami. W roku 1859 wybuchła wojna z Sardynią. W tej wojnie walczył cesarz Franciszek Józef I. osobiście pod Solferino. Wojna zakończyła się pokojem, mocą którego Austrya odstąpiła Lombardyę.

Na następny okres przypada wojna z Prusami



Sześćdziesiąt ośm lat rządów ces. Franciszka Józefa:
Cesarz Franciszek Józef w r. 1870.

i Włochami i wystąpienie Austryi ze związku Rzeszy niemieckiej.

Zapewniwszy sobie spokój od państw ościennych, pragnął cesarz także ustalić stosunki pokojowe w monarchii. W tym celu utworzył dla Węgier osobne ministerstwo, a w czerwcu 1867 roku cesarz i cesarzowa koronowali się uroczyście w Budzinie. Ustanowienie odrębnego zarządu dla Węgier spowodowało także utworzenie wspólnych delega-



Sześćdziesiąt ośm lat rządów ces. Franciszka Józefa:
Cesarz Franciszek Józef w stroju orderu Złotego Runa.

cyi, których pierwsze zebranie odbyło się 1. stycznia 1868 r.

W poprzednich jeszcze latach zapewnił cesarz używanie języka polskiego we wszystkich szkołach ludowych i średnich w Galicyi, nieco zaś później zezwolił na wprowadzenie języka polskiego na uniwarsytetach krajowych. Wreszcie w roku 1868 zaprowadził cesarz w Galicyi język polski jako urzędowy.

Błogie następstwa rządów cesarza i jego opieki dla całego państwa ujawniły się niebawem podczas światowej wystawy w Wiedniu w roku 1873. Wystawa, urządzona ku czci 25 letnich rządów monarchy, była chlubą całego państwa, stwierdzając, iż jego ludy kroczą drogą stałego rozwoju i postępu.

W roku 1875, z powodu prześladowania chrześcian w prowincyach tureckich, Bośni i Hercegowinie, wybuchły niepokoje, które później rozszerzyły się także w Bułgaryi, Serbii i Czarnogórze. Na kongresie berlińskim poruczono uregulowanie stosunków w Bośni i Hercegowinie Austryi, skutkiem czego w roku 1878 wojska austryackie zajęły oba te kraje.

Pragnąc przekonać się naocznie o warunkach życia i potrzebach swych poddanych, odbywał cesarz częste podróże po krajach swego rozległego państwa. Jedną z najważniejszych z nich była wycieczka do Galicyi w roku 1880.

Następna bytność cesarza w Galicyi przypada na rok 1894, w czasie wystawy krajowej i 1900 na manewrach w okolicy Jasła.

Dalszych lat swych rządów użył monarcha przedewszystkiem na uporządkowanie wewnętrznych stosunków politycznych, pracując gorliwie nad zapewnieniem swym poddanym jak największych swobód oraz dobrobytu materyalnego.

Aby Austryi zapewnić stały pokój, starał się



Sześćdziesiąt ośm lat rządów ces. Franciszka Józefa:
Cesarz Franciszek Józef na swym ulubionym koniu w Ischlu.

cesarz o porozumienie z Rosyą i osobiście konferował z carem Aleksandrem III. Konferencye te nie doprowadziły jednak do konkretnego porozumienia, zwłaszcza, że wzajemny stosunek obu państw zaostrzyły nieco późniejsze wydarzenia na Bałkanie. Na początek roku 1889 przypada tragiczna śmierć następcy tronu, arcyksięcia Rudolfa, wobec czego prawa dziedzictwa tronu przeszły na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda d'Este. Na rok 1898 przypada jubileusz 50 letnich rządów cesarza Franciszka Józefa I., obchodzony uroczyście w całem państwie.

Z lat następnych najważniejszem wydarzeniem było sankcyonowanie przez cesarza ustawy o powszechnem prawie głosowania, w dniu 26. stycznia 1907 roku.

W 60 letnią rocznicę swego panowanania 1908 roku ogłosił cesarz aneksyę okupowanej w roku 1878 Bośni i Hercegowiny.

Dalsze rządy sędziwego monarchy utrudniła wybuchła w roku 1912 wojna bałkańska, pośrednim następstwem której było zamordowanie w roku 1914 następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda d'Este i jego małżonki, ks. Zofii.

Wkrótce później wybuchła wojna światowa, w której cesarz Franciszek Józef I. zmuszony został w obronie honoru Austryi do wypowiedzenia wojny czterem mocarstwom i wielu pomniejszym państwom.

Aż do ostatniej chwili monarcha wytrwale i niezmordowanie kierował jej przebiegiem, interesując się najmniejszym szczegółem, aż wreszcie po sześćdziesięciu ośmiu latach rządów, zasnął na wieki.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

9

Józia spojrzała na niego uważniej i uśmiechnęła się figlarnie.

Jej dusza, budząca się w ukochaniu ziemi, słońca i kwiatów, przytaiła się, a natomiast pokazała rożki pospolita, mała, zalotna duszyczka kobieca...

Wzruszenie miłosne, które drżało w głosie mężczyzny i spoglądało z jego poczciwych, szarych, okrągłych oczu, rozdmuchało w dziewczynie kokieteryę.

W głębiach jej turkusowych źrenic zamigotały tysiące filuternych dyablików.

— Oj! Panie, panie! Pan tak jakoś dziwnie zaczyna... Niech mi się pan tylko przypadkiem nie oświadczy. Toby było strasznie głupie! Ja tego nie chcę. Prawda, pan nie miał zamiaru oświadczyć się?

Ścisnął zęby, aż zazgrzytały.

Widziała jego podrażnienie i bawiła się niem.

— Czy pani oświadczył się już kto kiedy? — zapytał po chwili.

Józia zamyśliła się.

— Doprawdy, sama nie wiem, jakby to powiedzieć. Jeżeli oświadczyć się, to znaczy prosić uroczyście o rękę, serce, ojcowskie błogosławieństwo i tak dalej, to chyba nikt. Tylko jeden „sztubak“... ale to było głupstwo... już dawno temu. Miałam wtedy lat czternaście, a teraz mam już przecież ośmnasty rok. On napisał do mnie list, że musi się ożenić ze mną, że będzie w jednym roku robił dwa lata, ale ja muszę mu przysiądz, że będę wiernie czekała na niego, a jeżeli nie chcę, to on zabije i siebie i mnie... to jest chyba naprzód mnie, a potem siebie. Ten list złapała moja nauczycielka, taka sucha, stara, nieznośna jędza i zrobiła z tego straszną chryję... O mało co i mnie i jego nie wyrzucili ze szkoły. Naturalnie tego nie można nazwać oświadczynami. A o miłości, to już do mnie pisało bardzo wielu... i listy i wiersze... A jeden, to mi mówił dużo, dużo i bardzo pięknie...

Szeroka, niezbyt ładna twarz Władysława zbielała dziwnie.

— I pani go słuchała?

— Słuchałam...

— To było na ewakuacyi w Pradze, prawda?... Ten pan nazywał się Konrad Żarnicki? Słyszałem... Czy tak, panno Józiu?

— Tak! — szepnęła cichutko, obrywając bezmyślnie modre płatki chabru.

— I pani go kochała?

— Bardzo! — odpowiedziała szczerze.

— I kocha go pani jeszcze? — wykrztusił zdławionym głosem.

Śmiertelna trwoga kładła mu się jak zmora na piersi.

Turkusowe oczy Józi pociemniały. Okrągło zarysowana kocia bródka zadrgała silnie, jakby do płaczu.

— Nie! — rzuciła twardo po chwili — Zerwałam z nim!

Władysław Michnik zdjął kapelusz i przesunął ręką po czole.

Józia, z charakterystyczną dla siebie zmiennością humoru i usposobienia, odzyskała szybko wesołość i zapytała figlarnie:

— A dlaczego się pan tak o to dopytuje?

— Panno Józiu...

— Panno Józiu... Panno Józiu... — przedrzeźniała dziewczyna — Wiem doskonale, jak mi na imię. Ile to razy słyszałam: Józka narwana, Józka szalona, Józka waryatka. No, niech pan mówi do rzeczy. Obchodzi pana to, co ja czuję i myślę?

— Bardzo. Pani wie o tem. Tak chciałbym wiedzieć wszystko... wszystko... o pani.

Spojrzenie Józi nagle zmiękło i jakby zwilgotniało.

— Pan jest dobry, panie Władysławie. Ja kocham i uwielbiam dobrych ludzi. Chciałabym być także dobrą. Ale nie wiem, czy potrafię. Ot, taką być, jak Anielka. Ale nie umiem. Chyba za głupia jestem i dyabeł jakiś we mnie siedzi, a tego dyabła to całe moje otoczenie od najmłodszych lat we mnie budziło. Wie pan, czasem mi się zdaje, że ja doprawdy jestem narwana, waryatka i nikomu szczęścia nie przyniosę.

— Panno Józiu, niech pani tak nie mówi. Pani jest dobra... i szczęściem pani będzie dla tego, który...

— To dobrze, że pan wierzy we mnie. Dziękuję panu. O, gdyby... Ale, co tam o tem! Nie chcę sobie truć przecudownego pobytu w Zalesinkach...

— Hanusia! Jak się masz? — krzyknęła nagle.

Polna ścieżyna urwała się i wydostali się na szeroką drogę, wiodącą do dworu.

Z pola szła hoża, kwitnąca, bardzo ładna wiejska dziewczyna. Do niej zwróciła Józia swoje powitanie.

— Dzień dobry panience! — odpowiedziała, ukazując w uśmiechu równe, białe, zdrowe zęby.

— Co słychać u ciebie? Wojtek pisał?

Cień smutku powlókł rumianą twarz dziewuchy.

— Nie, nie pisał. Już dawno wiadomości niema. Bóg wie, co się z nim dzieje.

— No, to przyjdź do dworu jutro, albo jeszcze dzisiaj. Napiszemy do niego, zaadresujemy porządnie, to dojść musi.

— Kiedy to tak daleko. W Azyi aże... na Syberze, gdzie mrozy straszne... Ksiądz proboszcz mi na mapie pokazał. Tyli świat... tyli świat.

Wytrysnęły z pod powiek jasne krople łez. Zapłakała ładna Hanusia za swoim chłopcem, który gdzieś tam bardzo daleko, w rosyjskiej niewoli, tęskni za nią i za wsią rodzinną.

Józia przyjacielsko pogładziła dziewczynę po włosach.

— Nie płacz, Hanusiu. List, choćby najdalej było — dojdzie. Napiszemy razem. No, nie mazgajże się, bekso, bo wróci.

„Jak pojechał, tak przyjedzie,
Jak cię kochał, tak cię będzie“.

Józia pochyliła się poufale do ucha dziewczyny i coś jej jeszcze powiedziała cichutko.

— Bóg zapłać panience za życzliwość — odszepnęła zarumieniona dziewczyna.

Hanusia przeniosła wzrok z Józi na młodego nauczyciela, który stał obok w milczeniu i rzekła:

— Pan Bóg wynagrodzi panience za to serce dla ludzi i dobrego męża ześle. Z panem nauczycielem, to jak raz para. A pan nauczyciel człowiek ludzki, jak się patrzy. — Przy nim kobieta będzie miała jak w raju, bo on nie ukrzywdzi, nie sponiewiera. A chłopy, to różne bywają, panienko!

Zaróżowiła się Józia, zmieszał się nauczyciel, choć oczy mu dziwnem światłem zapłonęły.

Zanim które z nich zdołało zebrać się na jakąś odpowiedź, na drodze rozległ się tętent kopyt końskich. — W stronę dworu zalesińskiego pędził na pięknym, karym wierzchowcu młody mężczyzna, w dżokeiskiej czapeczce, eleganckiem, sportowem ubraniu i błyszczących sztylpach.

Uchylił swej zgrabnej czapeczki przed Józią. — Uśmiech zadowolenia rozjaśnił jego wygoloną, zblazowaną, pozbawioną jakiegokolwiek głębszego wyrazu twarz.

Dziewczyna odkłoniła się, posyłając jeźdźcowi spojrzenie nieokreślone, które mogło być zarówno zalotnem, jak i ironicznem.

— Zaniecki jedzie do dworu — zawołał zazdrośnie Michnik — On tam zaczął bywać dopiero od przyjazdu pani!

— A tak, bo ja się w nim kocham... — roześmiała się Józia — Czy widział pan kiedy wdzięczniej „rozłupaną“ głowę i piękniej oszlif wane paznokcie? A jak się zna na psach i koniach! Rozkosz słuchać, doprawdy. No, ale teraz żegnam pana. Muszę spieszyć na obiad. Już dalej pójdę sama.

— Pani, to niby żartuje z Zanieckiego, a spieszy się pani do niego.

— Ależ tak, ma pan racyę, spieszę do niego, biegnę, pędzę, lecę. Nie dotrzymałby mi pan kroku. Do widzenia!

Frunęła w stronę dworu, jak ptak spłoszony, piękny, a zagadkowy.

Młody nauczyciel stał jeszcze długą chwilę i spoglądał za błękitnem zjawiskiem, dopóki mu nie znikło na zakręcie alei z przed oczu.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Anielka Walczakowa zapukała do drzwi pokoju, przeznaczonego dla Józi.

— Proszę!

— Co ci się stało, Józiu? — zapytała Anielka, wchodząc — zerwałaś się tak nagle i wybiegłaś, jak szalona, z pokoju, kiedy ci Kazio oddał te dwa listy. Zaniecki zrobił niesłychanie głupią minę. Twoje niespodziane opuszczenie naszego towarzystwa miało zresztą jeden dobry skutek. Zaniecki, dzięki Bogu, pożegnał się i zaraz odjechał, przestając irytować Kazia swoimi nonsensami. Pewnie się obraził na ciebie.

Józia machnęła lekceważąco ręką. Miało to oznaczać, że ją pan Zaniecki bardzo mało obchodzi — przynajmniej w tej chwili.

Podsunęła Anielce list, który przed chwilą czytała.

— Czytaj. Przed tobą nie mam tajemnic. To od niego... od Konrada.

— To wy korespondujecie jeszcze ze sobą? — zdziwiła się Walczakowa.

Józia z wrodzoną sobie szczerością i gadatliwością dawno już opowiedziała szczegółowo historyę swego zerwania z Żarnickim. — Była to historya krótka zresztą i dość pospolita, zwykłe zakończenie pierwszej, przemijającej miłości. Teraz jednak dowiadywała się ze zdziwieniem Anielka, że po rzekomem zakończeniu następował jeszcze dalszy ciąg.

— Właściwie nie korespondujemy — odpowiedziała na zapytanie przyjaciółki Józia — tylko ja napisałam do niego już z Zalesinek, aby mi odesłał moje listy i fotografię. I to jest właśnie odpowiedź. Proszę cię, przeczytaj ten list i powiedz mi, co o nim myślisz.

Anielka, zaciekawiona, wzięła seledynowy arkusik, zapisany drobnem, gęstem pismem i zaczęła czytać.

List był dziwnie niejasny, pełen frazesów i ogólników, przeplatany cytatami z Wilde'a, Byrona, Heinego, Musseta, Słowackiego, Tetmajera.

Jedne zdania były efektownie urwane, niedokończone — inne zanadto pełne, zaokrąglone, aby mogły wywierać wrażenie szczerości.

Było tam dużo mowy o miłości, tęsknocie, przebaczeniu, wspomnieniach, ale tworzyło to wszystko całość tak chaotyczną, że niewiadomo było, co właściwie autor listu chciał powiedzieć.

Jedno było tylko zupełnie jasne i wyraźne. Żarnicki oświadczał, że listy i fotografię uważa za swoją własność i nie zwróci ich.

Walczakowa z uczuciem pewnego niesmaku odłożyła list.

— Poza i blaga — przebiegło jej przez myśl.

Józia spoglądała na przyjaciółkę płonącemi niecierpliwością oczyma. Na policzkach miała wypieki.

— No i cóż? No i cóż? — pytała niemal gorączkowo — Co o tem myślisz?

— Przyznam ci się, moja droga, że zupełnie tego listu nie rozumiem.

Józia zwiesiła głowę.

— Otóż to właśnie — szepnęła z jakiemś smutnem rozczarowaniem — i ja nie rozumiem. I takie były wszystkie jego listy. To mnie zniechęciło do niego. Żeby on, zamiast tylu pięknych zdań, napisał tylko kilka słów, ale prosto, szczerze, od serca, tak, jak umiał mówić, tobym wszystko przebaczyła. Zapomniałabym o żalu, jaki do niego miałam. Boć przecież i ja nie bez winy i ja nie święta. Ale tak, to wiesz, co mi się zdaje... Może on mnie i kocha, tylko nie chce...

Urwała, ale Anielka odgadła, co Józia miała na myśli. Żarnicki nie chciał, czy nie mógł wypowiedzieć słowa, które wiąże i krępuje.

— Wasza miłość nie wytrzymała próby rozłączenia. To bieda, żeście wy oboje natury zmienne i kapryśne, a on, zdaje się, człowiek bardzo słaby.

Józia milczała. Mięła nerwowo seledynowy arkusik w ręce.

— Powiedz mi, Józiu — podjęła po chwili Walczakowa — czy ty go kochasz jeszcze?

— Bo ja wiem... Czasem to mnie taka tęsknota chwyta, że leciałabym za nim piechotą choćby do Afryki... kiedyindziej nienawidzę go tak mocno, że zrobiłabym wszystko, byle mu tylko dokuczyć. No, a czasem to przestaję zupełnie o nim myśleć i wtedy mogę swobodnie bawić się i śmiać z innymi.

Anielka uśmiechnęła się.

— I bałamucić każdego, kogo się tylko da, prawda, Józiu?... Czy to będzie Zaniecki, czy Michnik, czy ktokolwiek inny... Oj, Józiu, Józiu! Jesteś niepoprawna!

Józia zrobiła pieszczotliwą minkę zawstydzonego dziecka, z którą jej było prześlicznie.

— Anielko! Nie gniewaj się, moja złota! — zarzuciła przyjaciółce ręce na szyję — Ja już taka jestem. Chciałabym się zmienić, chciałabym być podobna do ciebie. Będę się starała, tylko nie sądź mnie zbyt surowo... tylko ty jedna nie myśl źle o mnie. Ja czuję, że tutaj w Zalesinkach staję się, muszę się stać lepsza i rozumniejsza. Zobaczysz.

— Ależ, Józieńko! — zawołała Walczakowa rozbrojona i rozczulona pokorą i wdzękiem dziewczyny — Ja się nie gniewam na ciebie. Znam przecież do głębi twoje niespokojne, burzliwe, ale dobre serduszko. Cieszy mnie to, że ci dobrze w Zalesinkach, ale nie chciałabym, abyś tu swoją zalotnością jakiej biedy nawarzyła. A o to bardzo łatwo. Wiesz pewnie, o czem mówię. O Michniku...

Józia poczerwieniała i nic nie odpowiedziała.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Nowy komendant Legionów.

Legiony polskie, które niebawem mają się stać kadrami wojska regularnego niepodległej Polski, otrzymały nowego komendanta. Z rozkazu Naczelnej Komendy armii z dniem 14. listopada br. objął to odpowiedzialne stanowisko pułkownik Stanisław hr. Szeptycki.

Nowy komendant Legionów urodził się w r. 1867 w Przyłbicach w Galicyi, nauki średnie pobierał w gimnazyum św. Anny w Krakowie, poczem — gwoli kontynuowania rodzinnej tradycyi wojskowej — wstąpił do Akademii techniczno-wojskowej w Wiedniu, którą ukończył w roku 1888 w randze porucznika artyleryi. W następnych latach karyery wojskowej widzimy go w dywizyonie artyleryi w Jarosławiu, na stanowisku nauczyciela w instytucie wyższej jazdy konnej w Wiedniu, w wyższej szkole wojennej, którą ukończył jako jeden z pierwszych elewów, w sztabie dywizyi piechoty w Koszycach, jako komendanta bateryi w Wielkim Waraździnie, wreszcie w r. 1899, już w randze kapitana sztabu generalnego, w komendzie dwunastej dywizyi piechoty w Krakowie. Gdy wybuchła wojna rosyjsko-japońska, hr. Szeptycki z ramienia austryackiego sztabu generalnego udaje się jako attaché wojskowy do Mandżuryi, gdzie spędza dwadzieścia miesięcy w poszczególnych sztabach rosyjskich, bacznie śledząc rząd i nierząd dwóch systemów państwowych, zmagających się ze sobą. Bogaty okres doświadczeń wojennych kampanii rosyjsko-japońskiej, poza zużytkowaniem urzędowem, posłużył hr. Szeptyckiemu za temat do odczytu w kasynie oficerskiem w Wiedniu wobec wysokich reprezentantów wojskowości z następcą tronu na czele. Odczyt ten, dokładnie zaznajamiający słuchaczy z aparatem wojennej gospodarki rosyjskiej, wywarł potężne wrażenie nie tylko na słuchaczach w Wiedniu, rząd rosyjski zainteresował się poważnie wykładem i w drodze dyplomatycznej uprosił władze austryackie o zaprzestanie popularyzowania moskiewskiego systemu. — Zamianowany majorem, pełni hr. Szeptycki w r. 1906 służbę szefa sztabu dywizyi kawaleryi w Wiedniu, w r. 1909, już jako podpułkownik, wraca do Krakowa do pierwszego pułku artyleryi, zaś dwa lata przed wybuchem wojny światowej spędza w Rzymie, na stanowisku attaché wojskowego.



Nowy komendant Legionów: Pułkownik Stanisław hr. Szeptycki.

W pierwszym okresie wojny hr. Szeptycki był w głównej kwaterze, potem szefem sztabu drugiego korpusu armii, z kolei komendantem trzydziestej brygady artyleryi i od połowy lipca b. r. komendantem trzeciej brygady Legionów polskich. Na tym ostatnim posterunku hr. Szeptycki zwycięsko kierował akcyą obronno-zaczepną pod Rudką Miryńską, o której wyżsi komendanci niemieccy zgodnie twierdzą, że zadecydowała o utrzymanin linii Stochodu.

Za kampanię rosyjsko-japońską hr. Szeptycki, wówczas jeszcze kapitan, otrzymał rosyjski order św. Stanisława z mieczami i order żelaznej korony trzeciej klasy z dekoracyą wojenną; w czasie obecnych walk odznaczono dzisiejszego komendanta Legionów: wojskowym krzyżem zasługi trzeciej klasy, niemieckim żelaznym krzyżem drugiej klasy, orderem Leopolda i ostatnio, za kampanię bukowińską, orderem żelaznej korony drugiej klasy.

Hr. Stanisław Szeptycki, ożeniony z ks. Sapieżanką, jest wnukiem Aleksandra hr. Fredry i potomkiem rodziny, która od szeregu pokoleń stała w służbie Ojczyzny.

Po zgonie Sienkiewicza.

Żałobna wieść o zgonie twórcy „Trylogii" wstrząsnęła do głębi narodem polskim, a odbiła się głośnem echem na całym świecie. Rodzina wielkiego pisarza otrzymała nie tylko z kraju, ale ze wszystkich państw liczne kondolencye, a papież w depeszy, wystosowanej do Polskiego Komitetu Ratunkowego w Vevey, wyraził swe sympatye. W pogrzebie wzięły udział liczne delegacye z Polski i posłowie wszystkich państw.

Głęboko odczuła zgon Sienkiewicza zwłaszcza stolica Polski — Warszawa. Żałobna wieść o zgonie Sienkiewicza — pisze „Kuryer Warszawski" — obiegła w czwartek wieczorem całą Warszawę, wywierając wszędy wrażenie piorunujące.

Do Rady miejskiej wieść o zgonie Sienkiewicza nadeszła podczas plenarnego posiedzenia.



Po zgonie Sienkiewicza: Henryk Sienkiewicz w swym gabinecie w Warszawie, w okresie tworzenia Trylogii.

Przewodniczący, dr. J. Zawadzki, przerwał tok obrad, komunikując, że za pośrednictwem loży prasowej otrzymał wstrząsającą wiadomość o zgonie w Vevey na anewryzm serca Henryka Sienkiewicza. Wiadomość ta wywołała wśród radnych przygnębiające wrażenie. Wszyscy w milczeniu powstali z miejsc. Zaległa długotrwała cisza. Przewodniczący przemówił głosem wielce wzruszonym.

Na wniosek radnego Libickiego, Rada miejska uchwala, aby na znak żałoby przerwać obrady.

Warszawa przyjęła wieść o śmierci Sienkiewicza ogólną żałobą. Na ulicach spotyka się co kilka domów chorągwie żałobne, w niektórych sklepach i zakładach fotograficznych urządzono bardzo artystyczne wystawy żałobne z portretami Sienkiewicza, oświetlonymi lampionami elektrycznymi, przyćmionymi czarną gazą, przybrane w liście palmowe i krepę.

W niektórych dużych kawiarniach w czwartek, niezwłocznie po otrzymaniu żałobnej wieści, orkiestry wykonały marsz żałobny Chopina. Publiczność słuchała cudnych tonów chopinowskiej skargi, stojąc. Po wykonaniu marsza, orkiestry, na znak żałoby, przerwały dalszy ciąg koncertów.

W teatrach warszawskich wygłoszono przed rozpoczęciem przedstawień mowy żałobne, których wysłuchała publiczność, stojąc.

Dniem wielkiej manifestacyi żałobnej była sobota. W dniu tym odbyło się nabożeństwo żałobne w katedrze św. Jana. Na znak żałoby zamknięto w sobotę od godziny jedenastej do pierwszej wszystkie sklepy, w teatrach nie było przedstawień, szkoły były nieczynne.

O ostatnich chwilach wielkiego pisarza niewiele dotychczas nadeszło wiadomości. Wiadomo jednak, że Sienkiewicz już od dłuższego czasu poważnie niedomagał. Święta Wielkiej Nocy spędził Sienkiewicz w willi p. Paderewskich w Morges, gdzie w nieobecności pp. Paderewskich, którzy wówczas byli w Ameryce, zebrała się dość licznie polska kolonia w Vevey razem z Komitetem szwajcarskim pomocy dla ofiar wojny w Polsce, na którego czele stał Henryk Sienkiewicz.



Legiony na Litwie: Komenda szóstego pułku przy śniadaniu podczas marszu



Schron przed bombami aeroplanowemi w szóstym pułku

Legiony na Litwie:



Izba chorych szóstego pułku w Bałabanowiczach.

Pracy ofiarnej dla rodaków — ofiar wojny, Sienkiewicz oddany był całą duszą. Choć wyczerpany i chory, chętnie uczestniczył w zebraniach Komitetu. W pracach tych dopomagali Sienkiewiczowi ci, co stanowili w ostatnich czasach jego najbliższe otoczenie i niezawodnie obecni byli w tym tragicznym momencie, gdy jeden z największych synów Polski, w chwilach tak dla nas doniosłych, zdala od ojczyzny, Bogu ostatnie oddawał tchnienie. W gronie tem byli: mec. Antoni Osuchowski, ks. Jan Gralewski, Henryk Opieński, Jan Kucharzewski i inni.

Sienkiewicza odwiedził w Vevey jeden z Warszawian podczas ubiegłego lata. Już wówczas autor „Trylogii“ niedomagał. Nie leżał, ale prawie nie wychodził z domu. Przyjmował niewiele osób i tylko z pośród bliżej mu znanych. Mówił, że lekarze polecili mu oszczędzanie sił. Skarżył się nieco na skłonność do przeziębienia i osłabienie serca.

Mówił z ożywieniem o akcyi dobroczynnej dla Polski. Przedmiotów politycznych nie poruszał. Niejednokrotnie na zapytanie bezpośrednie w tej mierze odpowiedzi nie udzielał, przechodząc do spraw ofiarności dla Polski.

Współpracownik genewskiego „Journalu“ miał jednak wywiad u Henryka Sienkiewicza, który, na zapytanie co do obecnego położenia Polski, miał odpowiedzieć w następujący sposób:

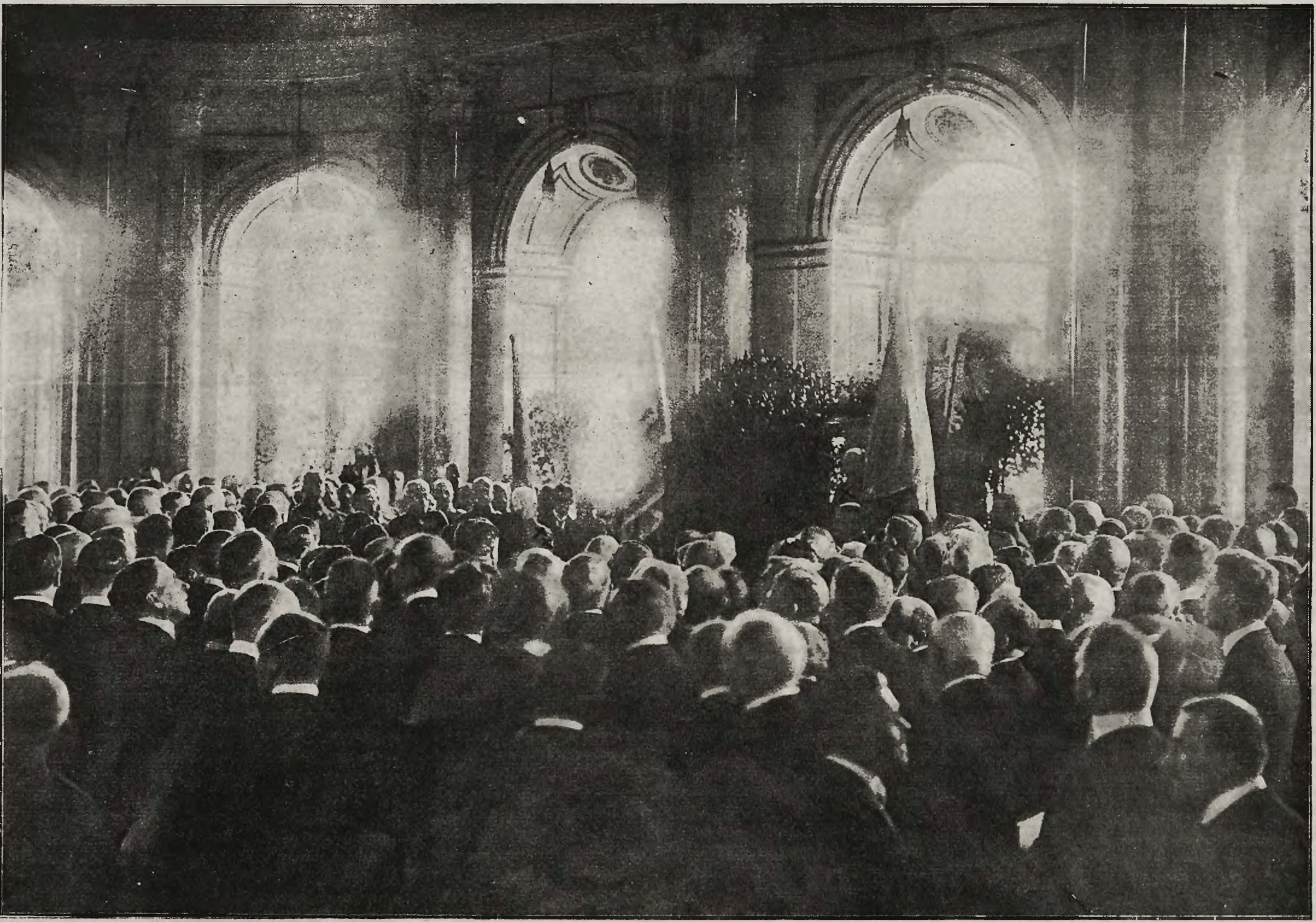
Jeśli chwila obecna nakazuje nieść pomoc materyalną — to nie wolno jednak sądzić, żeśmy zapomnieli o wielkiej sprawie Polski. Przekonani jesteśmy, że wojna dzisiejsza udzieli nam nakoniec tak upragnionej wolności; swobodny rozwój narodowy Polaków pod rządami polskimi stał się koniecznością dla Europy. Jesteśmy narodem, liczącym dwadzieścia-pięć milionów głów, najczystszą rasą słowiańską; my Polacy ze wszystkich Słowian najwięcej mamy krwi słowiańskiej w żyłach naszych. Nasza kultura jest najstarszą: Wszechnica, założona przez Kazi-



Legiony na Litwie: Wozownia trenu pierwszego batalionu szóstego pułku.



5. listopada w Warszawie: Delegacye na dziedzińcu zamkowym w chwili, gdy generał-gubernator Beseler, po odczytaniu manifestu monarchów, opuszcza Zamek Królewski.



5. listopada w Warszawie: W obecności gen. Beselera (X), hr. Hutten-Czapski (XX) odczytuje po polsku akt niepodległości w sali kolumnowej Zamku Królewskiego.



5. listopada w Warszawie: Epizod z pochodu. (Manifestacya na cześć Piłsudskiego).

mierza Wielkiego w 1364 r. była pierwszym uniwersytetem słowiańskim w Europie. My Polacy byliśmy przez długie wieki przedmurzem chrześciaństwa wobec Wschodu. Bogate posiadamy piśmiennictwo, szczytną przeszłość, a dążności nasze narodowe są szlachetne i uprawnione. Niewiadomo, o ile ściśle dziennik szwajcarski powtórzył słowa genialnego pisarza. To pewna jednak, że Sienkiewicz nietylko teraz, w tej dziejowej chwili, wierzył w konieczność zmartwychwstania Polski, lecz cała jego twórczość była nacechowana tą wiarą. Wymowne pod tym względem uwagi zamieścił Stanisław Przybyszewski we „Frankfurter Zeitung", w artykule p. t. „Sienkiewicz i polska dusza". W artykule tym znany autor z wielkim polotem pióra kreśli stan psychiczny narodu polskiego po roku 1863 i znaczenie Sienkiewicza w ostatnim okresie naszych dziejów.

Po zdławieniu powstania styczniowego, w którym sto tysięcy Polaków bądź padło na polach walk, lub zginęło w kazamatach sybirskich, kiedy to abnegacya polityczna i marazm duchowy owładnął masami polskiemi i zdawało się, że już raz na zawsze imię Polski zostało wykreślone z kart historyi — powstał znakomity artysta, który dał narodowi polskiemu wizyę jego wielkości i czynów heroicznych w dobie jego największego upadku politycznego, w czasie najazdu szwedzkiego.

W ten sposób uderzył w dusze polskie i zbudził je z niewiary. Jego Trylogia — kończy Przybyszewski — jest najświetniejszą kąpielą ożywczą dla dusz polskich — ona stała się jego ewangelią polityczną, hymnem jego nadziei...



Legiony na Litwie: Most kolejowy na Myszance w pobliżu postoju szóstego pułku.

Legiony na Litwie.

Pobyt na litewskiej ziemi pozostawi w pamięci Legionistów jak najmilsze wspomnienia. Kilkutygodniowy odpoczynek wpłynął znakomicie na pokrzepienie, długiem życiem okopowem i ciągłemi walkami wyczerpanych sił żołnierskich, pogłębił spoistość organizacyjną formacyi, urozmaicił życie żołnierzy, stojących w polu, które, zwłaszcza przy dłuższej walce pozycyjnej, jest szare i jednostajne. Odpoczynkiem wzmocnione i odrestaurowane Legiony tem lepiej spełnić będą mogły olbrzymie zadanie organizowania armii polskiej, do którego je powołano.

Zdala od większości Legionów rozlokowany pułk szósty, najwięcej z pobytu na Litwie skorzystał. Korzyść ta płynęła już z tej okoliczności, że spędzał odpoczynek sam, zdala od innych pułków, przez co większą posiadał swobodę, nie krępowaną cudzą, choćby sąsiedzką tylko obecnością. Wieś Bałabanowicze, w której rozkwaterowali się szóstacy, położona jast nad rzeką Myszanką, w pięknej litewskiej okolicy, pełnej pagórków i wzgórz bezleśnych, przypominającej miłe górskie strony. Niewielka odległość wioski od miasteczka polskiego Nowa Mysz przyczyniła się również do urozmaicenia życia szóstaków. W tamtejszym kościele katolickim zaspakajał żołnierz szóstego pułku swoje potrzeby religijne dzięki uprzejmej życzliwości tamtejszego proboszcza, księdza Trumpela. Niemiecki zakład kąpielowy w Nowej Myszy pozwolił postawić pułk pod względem zdrowotnym na wymaganej wysokości. Pomiędzy ludnością polską okolicy a Legionistami nawiązane zostały bardzo przyjazne stosunki, które nie mogą pozostać bez dodatniego wpływu na pogłębienie polskości wśród litewskiego ludu.



Legiony na Litwie: Podpułk. Norwid formuje szósty pułk udający się na Mszę św. do Nowej Myszy.

Wewnętrzne życie pułku nabrało żywych barw dzięki dobrej woli i zapobiegliwości komendy pułkowej, która starała się pod każdym względem uprzyjemnić szóstakom ich odpoczynkowe tygodnie. Podpułkownik Norwid zaprowadził w pułku szereg rozrywkowych inowacyi, przyczem zawsze godził obowiązki żołnierskie z przyjemnościami, trzymając się starej zasady *utile cum dulci*. Ćwiczenia pułku, sprawdzanie jego pogotowia przez nagłe alarmy, kursa podoficerskie, bliższe zapoznawanie się z najnowszemi metodami walk w obecnej wojnie, próbne strzelania, słowem cała żołnierka nie poszła bynajmniej w zapomnienie, lecz stała na planie pierwszym. Mimo tych zajęć żołnierskich, nie brakło czasu na zabawy i rozrywki, którym oddawali się chętnie oficerowie i żołnierze.

Z pobytu i życia szóstaków na Litwie podajemy szereg illustracyi, które dają nam chociaż częściowy obraz ich zajęć i przedstawiają tamtejsze okolice ziemi litewskiej.



Legiony na Litwie: Fronton kościoła polskiego w Nowej Myszy, gdzie w każdą niedzielę modlili się Legioniści.

5. listopada w Warszawie.

Pamiętny dzień 5. listopada, który stał się przełomowym punktem krwawych wydarzeń, jakie przeżywa w tej wojnie naród polski, odbił się radosnem echem wszędzie, gdzie tylko biją serca polskie. — Wieść o uroczystem proklamowaniu niepodległej Polski obiegła wszystkie jej zakątki, w miastach zaś, miasteczkach, a nawet po wsiach przyjęto ten akt uroczystemi obchodami. — Rzecz prosta uroczyście i z należytem odczuciem powagi chwili przeżyła dzień 5. listopada stolica Polski — Warszawa. Niezliczone tłumy stały w skupieniu przed zamkiem królewskim — świadkiem naszej chwały — gdzie po latach gospodarki satrapów rosyjskich, usiłujących wytępić wszystko, co polskie — rozległy się wreszcie uroczyste słowa monarsze, przywracające Polsce jej byt państwowy.

Opis tej historycznej uroczystości zamieściliśmy już wraz z fotografiami w poprzednich numerach. Należy tu jednak dodać, że oprócz oficyalnego aktu na Zamku Królewskim i uroczystego posiedzenia w Radzie miejskiej odbył się w Warszawie olbrzymi pochód, w którym wzięły udział szerokie warstwy narodu. Ten moment uroczystości stał się też gorącą manifestacyą na cześć Piłsudskiego — jako przyszłego wodza armii polskiej... W pochodzie niesiono tablicę z napisem: „Niech żyje Piłsudski — wódz armii polskiej", a tłumy wznosiły na cześć twórcy Legionów gromkie okrzyki.

Ten epizod z pochodu przedstawia właśnie jedna z naszych fotografii. Prócz tego zamieszczamy w dzisiejszym numerze dwa inne zdjęcia z uroczystości dnia 5. listopada. — Jedno z nich przedstawia akt proklamowania niepodległej Polski w sali kolumnowej zamku królewskiego, na drugiej widzimy delegacye na dziedzińcu zamkowym w chwili, gdy jenerał Beseler, po odczytaniu manifestu, opuszcza zamek.



Legiony na Litwie: Cerkiew prawosławna w Nowej Myszy, obrócona obecnie na kino.

JULES CLARETIE.

TAJEMNICZY OSKARŻYCIEL.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

4

— Boję się! Boję! — szepnęła drżącemi wargami — To on!

— Jaki on? — zapytał niemniej wzruszony ajent, pochylając się ku niej.

Pani Moniche już teraz ledwie poruszać mogła wargami. Blada była śmiertelnie i musiała oprzeć się o ścianę.

— Jaki on? — powtórzył Bernardet.

— On! Ten, którego widziałem przy kasie pana Rovere! — wymówiła z trudem pani Moniche.

Bernardet objął nieznajomego spojrzeniem nawskróś przenikającem, jak stal.

Ten zaś, napół pochylony nad stolikiem, kreślił nazwisko swoje na rozłożonej ćwiartce papieru.

Bernardet mógł doskonale dojrzeć jego wysokie, blade czoło i długą, siwiejącą już lekko brodę.

I nagle ajent doznał dziwnego wstrząśnienia. Zdawało mu się, że linie tej twarzy, czoła, brody są mu znane! Widział je już! Przypominały mu obraz, który tak głęboko utkwił w jego mózgu!

Tak! Tak! Nie mylił się! To był człowiek z odbitki fotograficznej, wywołanej niedawno! Sylwetka, która ostatnio pozostała, jako dowód oskarżający, w oczach zamordowanego!

Bernardet całą siłą woli powstrzymywał się, aby nie krzyknąć z radości i nie uczynić natychmiastowego użytku z tego niespodziewanego odkrycia. Jeszcze baczniej przyjrzał się nieznajomemu! Mglista sylwetka z kliszy zgadzała się wybornie z aparycyą tego człowieka!

— Kto to jest? Kto to jest? — niepokoił się gorączkowo ajent.

Nieznajomy w tej chwili odłożył pióro i wyprostował się. W całej postawie jego było coś, co pomimowoli zainteresować musiało. Na twarz jego padał teraz jasny snop światła i Bernardet mógł dostrzedz matową bladość twarzy i ponury ogień ciemnych oczu.

Na chwilę spojrzenia ich skrzyżowały się. I pod badawczem, upornem spojrzeniem ajenta, oczy tamtego zamigotały gniewnie. Wyprostował się jeszcze więcej i spojrzał wyzywająco, z dumą i pewnością siebie.

Wówczas Bernardet zmienił taktykę. Spuścił powoli oczy i skłonił się lekko przed nieznajomym, który, nie odpowiedziawszy na ten ukłon, zwrócił się i zmieszał z tłumem publiczności.

— To on! To on! — powtarzała gorączkowo pani Moniche, która drżała, jak przed objawieniem się widma jakiego.

Zaledwie nieznajomy oddalił się, Bernardet skoczył do stolika i pochwycił zapisaną kartkę.

Widniało na niej nazwisko skreślone drżącem pismem:

— „Jerzy Montin“.

Nazwisko to nie obudziło żadnych wspomnień w ajencie. Zagadka trwała dalej.

— Proszę nie mówić nikomu, żeśmy widzieli tego człowieka! — zwrócił się ostro do przelęknionej pani Moniche — Nikomu! Rozumie pani?

I prędko zwrócił się w kierunku, w którym zniknął nieznajomy.

Nie trudno było odnaleźć Jerzego Montin pośród zbitego tłumu ludzi. Górował nad nimi wyniosłą, barczystą postacią, postępując tuż za wozem żałobnym. Bernardet mógł więc przypatrzeć mu się dowoli. Był to człowiek o ruchach poważnych i wytwornych. Wyraz jego twarzy intelligentnej zdradzał siłę woli i wybitną energię.

W tej chwili głębokie jego oczy były jakby zahypnotyzowane widokiem trumny, kołyszącej się przed nim i Bernardet zdziwiony był smutkiem szczerym, który bił z nich. A im więcej Bernardet go obserwował, tem podobieństwo z sylwetką, wywołaną na kliszy, stawało się wyraźniejsze.

Paliła ajenta ciekawość dowiedzenia się, kim był ten wyniosły, smutny i milczący człowiek i zwrócił się do jakiegoś grubego jegomościa, idącego obok niego:

— Czy nie wie pan, kto jest ten pan, stojący tam przy trumnie?

— Nie wiem. — brzmiała odpowiedź.

— A może pan wie, kto jest Jerzy Montin? Czy jest to krewny pana Rovere?

— Nie mogę pana w tym względzie objaśnić, bo nie znam go wcale.

Bernardet pomyślał, że najlepiej uczyni, zwracając się do Jerzego Montin osobiście i przybliżył się do niego nieznacznie.

Po chwili zawiązał z nim rozmowę, rozczulając się nad panem Rovere, który padł ofiarą tak niecnego mordu, ale towarzysz jego zbywał go krótkiemi, grzecznemi słowami.

— Twarda jakaś sztuka! — westchnął Bernardet, ale nie tracił jeszcze nadziei rozruszania go.

Tłum, towarzyszący orszakowi, zalegał część ulicy i chodników. Bernardet zauważył, że wszyscy z ciekawością i rodzajem uszanowania spoglądali na Jerzego Montin.

— Widzę wiele wieńców i kwiatów — zagadnął go — a jednak, o ile wiem, pan Rovere nie miał wielu przyjaciół i znajomych.

— Miał ich niegdyś! — odpowiedział Jerzy Montin dosyć szorstko. Głos jego był ochrypły i nienaturalny.

— Jest dziwnie wzruszony. — pomyślał ajent — Ale co to może być? Smutek? Gorycz? Czy wyrzuty sumienia?

Jerzy Montin nie zdawał się zresztą interesować otoczeniem. Szedł z odkrytą głową pomimo deszczu i wiatru, z oczami, utkwionemi w trumnę. Na twarzy jego przebijało się jakieś zmęczenie, ale w kątach ust osiadł wyraz surowości i ironii. Zdawało się, że ten człowiek o zuchwałych błyskach oczu, gotówby stawić czoło całemu światu, gdyby tego zaszła potrzeba.

Kiedy orszak dochodził już do cmentarza, Bernardet zapytał jeszcze:

— Czy pan znał dobrze pana Rovere?

— Bardzo dobrze! — odpowiedział Jerzy Montin.

— Czy sądzi pan, że ktoś mógł mieć jakiś specyalny powód do zamordowania go?

Pytanie postawione było nagle i brutalnie i wymagało odpowiedzi.

Jerzy Montin wahał się chwilę, spoglądając badawczo i ze zdziwieniem na człowieka, który szedł obok niego i w tak niespodziewany sposób do niego się zwracał.

— Chciałbym jak najprędzej rozpocząć poszukiwania. — mówił dalej Bernardet — Jestem bowiem ajentem policyjnym i wszystkie wskazówki, tyczące się zbrodni, są dla mnie bardzo cenne.

Bernardet, mówiąc to, śledził, jakie wrażenie słowa jego wywrą na słuchaczu.

Zauważył z zadowoleniem, że Jerzy Montin drgnął silnie. Najwidoczniej towarzystwo ajenta policyjnego nie było mu przyjemne, bo twarz jego pobladła, a w oczach zabłysły błyskawice gniewu.

Nie odpowiedział jednak ani słowa, tylko od czasu do czasu obejmował spojrzeniem postać ajenta, kroczącego spokojnie obok niego.

Kondukt żałobny skręcał teraz na róg bulwaru i postępował ulicą, wiodącą na cmentarz.

Bernardet, po chwili milczenia, zwrócił uwagę na dziwne zachowanie się swego towarzysza.

Twarz jego wyrazista bladła coraz silniej, a niespokojne jego spojrzenie zwracało się coraz częściej na ajenta, jak gdyby chciał mu zadać jakieś pytanie.

Skorzystał Bernardet z tego dobrego usposobienia i rzuciwszy kilka banalnych słów, zapytał go nagle:

— Czy nie mógłby mi pan określić bliżej, jak długa była pana znajomość ze zmarłym?

— Byliśmy przyjaciółmi od dzieciństwa! — odparł Jerzy Montin.

— I często pan go widywał?

— Nie! Życie nas rozłączyło!

— Ale jednak niedawno jeszcze był pan u niego. Pani Moniche mi to mówiła.

— Któż to jest?

— Dozorczyni domu, gdzie mieszkał pan Rovere. Zajęta była również u niego, jako służąca.

— Ah! Tak! — wyrzekł po chwili Jerzy Montin, jak gdyby przypominając coś sobie.

Bernardet odczuł instynktownie, że w tej chwili towarzysz jego przeżywał raz jeszcze w myśli scenę tajemniczą, której świadkiem była wchodząca dozorczyni. Ta kasa otwarta, banknoty wartościowe, porozrzucane w nieładzie. Tak! O tem myślał Jerzy Montin, bo po twarzy jego przeszedł cień lęku, zamieniając się wkrótce w uśmiech pełen ironii.

— Czy sądzi pan, że pan Rovere mógł mieć nieprzyjaciół? — zapytał jeszcze pan Bernardet. — Czy wie pan może o jakim nieprzychylnym mu człowieku?

— Nie wiem — odpowiedział krótko zapytany.

Bernardet przeczekał chwilę i powrócił znowu do ataku.

— Pan Ginory liczy bardzo na pomoc pana w wyszukaniu zbrodniarza.

— Pan Ginory?

— Sędzia śledczy.

— Jeżeli ma zamiar zwrócić się do mnie, to radziłbym mu się spieszyć. Jestem zmuszony wkrótce Paryż opuścić.

Odpowiedź ta niemało zadziwiła ajenta. Wyjazd pana Montin wydał się mu nienaturalnym w tych nadzwyczajnych okolicznościach. Czyżby obawiał się pościgu i chciał wyjazdem tym zatrzeć ślad po sobie. Ale znowu człowiek rzeczywiście winny, nie ogłasza tego tak jawnie i to przed ajentem policyi.

— Zaraz po powrocie z cmentarza będę mógł służyć panu Ginory — rzekł dalej pan Montin. — Niestety, zawiodę tylko jego oczekiwania, bo nie będę mógł nic ciekawego powiedzieć, albowiem sam nie wiem. Nie podejrzywam nikogo. Bo któż mógł mieć jakiś cel w dopuszczeniu się tej zbrodni. Chyba człowiek zupełnie obcy — zbrodniarz z powołania.

Bernardet potrząsnął głową przeczącym ruchem i wyrzekł dobitnie:

— Zdaje mi się, że się pan myli.

— Czy być może? — odparł z lekką ironią pan Montin. — Widzę, że pan Ginory lepiej uczyni, szukając u pana potrzebnych mu wyjaśnień, niż u mnie.

Orszak już wchodził na cmentarz. Wokoło zakupionego przez pana Rovere grobu tłoczyła się publiczność, zaciekawiona i podniecona. Pani Moniche łkała głośno, ostentacyjnie łzy wycierając czarną, jedwabną chusteczką.

Bernardet postanowił dobrze obserwować zachowanie Jerzego Montin podczas pogrzebu. Silniejszy napór tłumu rozdzielił ich nagle, ale ajent w duchu zadowolony był z tego przypadku. Montin znalazł się naprzeciw niego po drugiej stronie otwartego grobu, mógł więc bez zwrócenia jego uwagi, badać grę jego wyrazistej twarzy i oczu. Ajent po raz pierwszy może w życiu zazdrościł innym wysokiego wzrostu. Musiał bezustannie stawać na czubkach palców, aby przeciwnika dojrzeć i równocześnie umiejętnie ukrywać się pomiędzy widzami.

Jerzy Montin stał wyprostowany, z podniesioną głową. Cała jego wyniosła postać miała w sobie coś zaczepnego i zuchwałego. Z silnego drgania muskułów jego twarzy Bernardet odgadywał, że siłą woli pokonać chce miotające nim wzruszenie i zachować przytomność umysłu. Nie był jednak jeszcze całkiem pewnym, czy Montin winien jest śmierci pana Rovere, ale zachowanie się jego zimne i odporne nasuwało mu różne przypuszczenia.

— Gdyby rzeczywiście był przyjacielem najstarszym zamordowanego — myślał ajent — czy potrafiłby okazać tak mało współczucia wobec śmierci jego. Wygląda na człowieka, którego nudny obowiązek tu przywiódł, albo też tak umiejętnie umie nad sobą panować. — A im więcej przyglądał mu się i rozbierał jego rysy, tem podobieństwo z sylwetką fotografii występowało wyraźniej.

— To silny gracz, lub całkiem niewinny człowiek — myślał dalej ajent — ale to ostatnie nie wydaje mi się prawdopodobnem. Klisza go oskarża! Oskarża lepiej, niż wszystko inne!

Bernardet powtarzał sobie co chwila adres podany przez Jerzego Montin: „ulica Richelieu 114“. Chciał go dobrze zapamiętać i powiedzieć o nim panu Ginory, żeby jak najprędzej tego tajemniczego człowieka zawezwał przed siebie i dowiedział się, kim jest właściwie.

Bernardet czuł coraz silniejszy niepokój. — Dlaczego ten pan Montin opuszczał tak szybko Paryż? Jakiem było jego życie, stan majątkowy i zajęcie? Nic z tego wszystkiego odgadnąć nie umiał, choć coraz natarczywiej wpatrywał się w tę postać, dumnie stojącą nad grobem.

Po chwili zauważył z wielkiem zadowoleniem, że, pomimo wielkiej mocy panowania nad sobą, pan Montin zdradził pewne wzruszenie, kiedy dobiegł go głuchy łoskot trumny, spuszczanej do grobu. Nerwowym ruchem przyciskał pobladłe wargi, a ręce jego, pokryte czarnemi rękawiczkami, drżały lekko.

Jakimś dziwnie głębokim wzrokiem objął trumnę, noszącą napis: „Ludwik—Piotr—Rovere“ i pozostał tak długą chwilę zapatrzony, niemy, nieczuły na to, co się wokoło niego działo!

Bernardet pochwycił to spojrzenie i zanotował w pamięci. — Wyczytał z niego jakąś przypływającą falę wspomnień serdecznych, lęk i niepokój śmiertelny. — To spojrzenie było tak wymowne, tak szczere w swojej rozpaczy, że Bernardet uczuł, że i z nim się coś dziwnego dziać zaczyna. — Ale cóż ta rozpacz wielka oznaczać mogła? Boleść za utratą wiernego przyjaciela, czy też lęk przed grożącą mu przyszłością?

Jerzy Montin w tej chwili, idąc za przykładem drugich, drżącą ręką skrapiał wodą święconą trumnę ze zwłokami przyjaciela. — Jakże blady był śmiertelnie! Zdawało się, że lada chwila siły go opuszczą i upadnie zemdlony przy grobie. To nadzwyczajne

wzruszenie u człowieka, zdradzającego silny i nieugięty charakter, było rzeczą wiele znaczącą!

Tłum zaczął się powoli rozchodzić. Ciekawości ludzkiej stało się zadość. Przy grobie pozostała tylko służba cmentarna, oddając ostatnie posługi. — Bernardet oddalił się również i miał zamiar podejść do Jerzego Montin, kiedy usłyszał, że ktoś woła go po imieniu.

Odwrócił się. Był to reporter Rodin, uśmiechnięty i zaciekawiony.

— No i cóż, panie Bernardet? — Jest co nowego?

— Nic jeszcze — odparł ajent.

— Jakto, żadnego śladu? Żadnego przypuszczenia?

— Nic jeszcze — powtórzył Bernardet niecierpliwie, niechętnem okiem mierząc natręta.

— A ja odkryłem coś ciekawego!

— Pan?

— Tak, ja! Dziwi to pana?

— Cóż to jest?

— Oh, dowie się pan jeszcze! Chcę wam zrobić niespodziankę! Niech pan przeczyta mój artykuł! Rozumie pan, mój artykuł dzisiejszy.

— Cóż w nim takiego?

— A, otóż to! Sami nic powiedzieć nie chcecie, zasłaniając się tajemnicą urzędową... Ale czyście chociaż pomyśleli o tej damie w żałobie, odwiedzającej pana Rovere?

— Zapewne — odparł Bernardet.

— Skoro tak, to powinniście ją jak najprędzej odszukać! To nie łatwe, prawda? Ale zdaje mi się, że mi się to już udało!

— Panu? — zapytał z niedowierzaniem Bernardet.

— Tak, mnie!

— I gdzież to, jeżeli wiedzieć wolno?

— Wynalazłem ją na prowincyi!

— Na prowincyi? To jeszcze mało! Ale w jakiej miejscowości?

— Tajemnica urzędowa — zaśmiał się drwiąco reporter.

— A gdyby pan Ginory, sędzia śledczy, poprosił pana o wyjaśnienie jej?

— Odpowiedziałbym mu tak samo, jak panu! A teraz radzę panu jak najspieszniej przeczytać mój artykuł w „Iskrze"! Dowie się pan ciekawych rzeczy, panie Bernardet.

— Ależ pan Ginory...

— Co pan Ginory? Niech także czyta! Wspaniały, senzacyjny artykuł: „Dama w czerni!" — Niczem wszystkie romanse kryminalne!

Bernardet, rozmawiając z rozweselonym reporterem, nie spuszczał z oka Jerzego Montin... Stał on teraz na boku wielkiej alei i niespokojnem spojrzeniem wiódł po publiczności, tłoczącej się do wyjścia. Twarz jego była zmieniona do niepoznania! Zdawało się, że chce gorączkowo odszukać kogoś znajomego w tym tłumie ruchliwym i zbitym.

Wzruszenie ciągle jeszcze powstrzymywane, wyżłobiło jakiś bolesny grymas w kątach ust ściągniętych nerwowym skurczem.

Bernardet przeczuwał, że jakaś walka straszna toczy się w duszy tego człowieka i dałby wszystkie skarby świata, aby odgadnąć, jakie myśli tłoczyły się pod jego czaszką.

— Ciekawe studyum — mruczał przez zęby. — Żebym się nie lękał, że dał adres fałszywy i zniknąć mi z oczu może, zabawiłbym się dalej w psychologa. Ale, czas mój drogi! Na razie nie pozostaje mi nic, jak pilnowanie go.

Poszedł więc za Jerzym Montin, kiedy ten ruszył nareszcie z miejsca. Szedł krok w krok za nim i zadziwił się niemało, kiedy znalazł się na ulicy Richelieu, pod numerem 114.

— Więc prawdę mówił! Mieszka tu rzeczywiście! W każdym razie ciekawy osobnik — pomyślał ajent.

Kiedy Jerzy Montin zniknął w klatce schodowej udając się na górne piętra. Bernardet wszedł do loży dozorcy i zaczął z nim w rozmowę. Dowiedział się wkrótce, że Montin od dwóch lat mieszkał już w tym domu i że nie miał żadnego określonego zajęcia.

— W takim razie to nie jest ten Montin, którego ja szukam — wyrzekł Bernardet — bo tamten jest bankierem.

Pożegnał dozorcę, wyszedł na ulicę i zatrzymał przejeżdżającą dorożkę.

— Do dyrekcyi policyi! — zawołał, siadając — a pospiesz się, mój przyjacielu.

Raport jego był wkrótce złożony. Komisarz naczelny wysłuchał go przyjaźnie i z zainteresowaniem, wiedział bowiem, że Bernardet nigdy lekkomyślnie nie działał i używany był przez zwierzchników do pomocy w najzawilszych sprawach.

Wkrótce komisarz przejął się gorąco podejrzeniami ajenta i był już prawie przekonany, że Jerzy Montin jest mordercą pana Rovere.

— Co zaś do powodów, jakie go do tego kroku popychały — wyrzekł na zakończenie rozmowy — dowiemy się o nich później.

Trzeba było przedewszystkiem dowiedzieć się coś o przeszłości tego człowieka i o jego życiu obecnem. W tym celu pan Ginory zawezwać go miał jako świadka do rozprawy, a równocześnie Montin miał pozostać pod ścisłym i sekretnym dozorem policyjnym.

— Niech pan teraz idzie do pana Ginory — rozkazał komisarz. — Znajdzie go pan w jego biurze. Ja zaś przez ten czas postaram się z aktów dowiedzieć, kto jest właśnie ten Jerzy Montin.

Bernardet przeszedł kilka korytarzy i zapukał do gabinetu sędziego śledczego. Ale pan Ginory zajęty był inną sprawą i Bernardet musiał zaczekać. Usiadł na ławce i pogrążył się w myślach.

Dziwnego doznawał wrażenia od chwili spotkania Jerzego Montin. On, zawsze tak spokojny, wypełniający trudne swoje obowiązki codzienne z rodzajem cichego zadowolenia, tym razem czuł się niespokojnym i zdenerwowanym silnie. — Bo rzeczywiście w tym wypadku nie chodziło o zwykłe, tak, jak się wyrażał „polowanie na dzikiego człowieka". — Bernardet czuł w sobie lęk, którego musi doznawać człowiek wiedzy w przededniu wielkiego odkrycia. — Postawił sobie ciężki problem do rozwiązania, pozornie nierozwiązalny, a chciał te trudności pomimo wszystko pokonać.

Od czasu do czasu wyjmował z kieszeni surduta stary, zniszczony portfel i spoglądał chciwie na odbitki fotograficzne, przylepione do kawałka kartonu, przedstawiające tę dziwną, mglistą sylwetkę, tak podobną do spotkanego Jerzego Montin.

Nie można było mieć żadnych wątpliwości. — To był ten sam człowiek, pochylony przed chwilą nad otwartym grobem zamordowanego pana Rovere. Pan Ginory będzie zdumiony zapewne, ujrzawszy tego człowieka z kliszy przed sobą. Żeby tylko sędzia chciał dalej trwać w pragnieniu zbadania tej wielkiej tajemnicy i chciał doświadczenie, rozpoczęte przez niego, doprowadzić do końca.

— Na szczęście pan Ginory jest ciekawym badaczem wszelkich objawów życia — pomyślał Bernardet — a przez ciekawość poznanania dochodzi się do wszystkiego.

Jednak oczekiwanie na przyjęcie u sędziego wydawało się ajentowi bardzo długiem. Lękał się, żeby Montin nie przyspieszył swojego wyjazdu i nie uszedł tym sposobem przed badaniem pana Ginory.

Nareszcie drzwi od gabinetu sędziego otworzyły się, przepuszczając jakiegoś człowieka o twarzy pospolitej i napiętnowanej złymi nałogami.

Bernardet podszedł do woźnego, stojącego przy drzwiach i prosił go o zameldowanie jego przybycia.

— Proszę powiedzieć panu sędziemu — dodał — że to ważna sprawa, tycząca się wypadku z ulicy Clichy.

Niebawem ukazał się pan Ginory, zaciekawiony i podniecony i przyjaźnie przywitał ajenta.

— Chodźże, Bernardet, chodź! - zawołał, zamykając drzwi za nim. — Czekałem na ciebie. Jestem bardzo zainteresowany tą sprawą. Na pogrzebie pana Rovere być nie mogłem, ale wiedziałem, że ty tam będziesz i zdasz mi szczegółowe relacye.

Bernardet opowiedział dokładnie cały przebieg smutnej ceremonii, podkreślając obrazowo fakta, które mogły silniej zainteresować jego zwierzchnika.

Niepotrzebnie jednak wysilał się w tym kierunku, bo pan Ginory aż drżał od wewnętrznego podniecenia i ciekawości.

Ze zdumieniem słuchał, że człowiek, widziany przez panią Moniche w pokoju pana Rovere w tak drażliwej sytuacyi, pojawił się na pogrzebie i zachowywał w dosyć niejasny sposób. I zastanawiał się, co mogło tego Jerzego Montin popchnąć do pojawienia się przy zwłokach zmarłego? Czy zawiodła go tam prawdziwa przyjaźń dla przyjaciela młodości, czy też kierował nim instynkt impulsywny, wspólny wszystkim mordercom, nakazujący im krążyć koło miejsc, gdzie dopuścili się zbrodni.

— Co myślisz o tem wszystkiem, Bernardet? — zapytał wkońcu pan Ginory.

Bernardet milczał chwilę, jak gdyby wahając się z odpowiedzią.

— Nie chciałbym wydawać wyroku na niewinnego człowieka — odparł wkońcu — ale klisze moje oskarżają go więcej jeszcze, niż niejasne zachowanie się jego.

— Zobaczymy — wyrzekł sędzia poważnie. — Muszę go natychmiast przesłuchać, a wtedy chociaż jakaś część prawdy odkryta nam zostanie. Wydam zaraz rozkaz sprowadzenia go tutaj. Ty, Bernardet, pójdziesz również na ulicę Richelieu i zwracać będziesz uwagę na wszystko.

Bernardet skłonił się w milczeniu i wyszedł. W oczach jego błyszczał ogień natężonego podniecenia i tryumfu.

VII.

Pomiędzy sędzią, zadającym pytania, a oskarżonym lub chociaż w podejrzeniu będącym człowiekiem, wytwarza się zawsze ostra i tragiczna walka słów. A jedno fałszywe lub wahające słowo stanowić może o życiu lub wolności danego osobnika. Potęga ludzi, wybranych na sędziów, jest wielka i niebezpieczna. Od jednego gestu ich zależy, czy człowiek, który jako zwykły przechodzień znalazł się w murach gmachu więziennego, pozostanie tam na zawsze, czy też wyjdzie swobodnie.

Jerzy Montin przybył na wezwanie pana Ginory'ego z pospiechem człowieka, który, opłakując stratę serdecznego przyjaciela, chce dopomódz władzom do pomszczenia jego śmierci. Nie zawahał się ani na chwilę, a Bernardet, który widział, jak wsiadał do dorożki, uderzony został tym gorączkowym pospiechem.

Pan Ginory zaś odetchnął z ulgą, kiedy zawiadomiono go, że, wezwany przez niego świadek, oczekuje na rozmowę. Do ostatniej bowiem chwili nie był pewnym, czy Jerzy Montin pozwoli się odnaleźć tak łatwo.

Sędzia siedział przed biurkiem swojem z oczami uporczywie utkwionemi w drzwi, któremi miał wejść Montin. Przywiązywał wielką wagę do pierwszego wrażenia, jakie odniesie. Wrażenie to nigdy nie zawiodło go dotąd i, ilekroć który z oskarżonych stawiał się na jego rozkaz, już od pierwszej chwili ujrzenia go, mógł sobie wyrobić jakieś zdanie o nim.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu pewnym, szybkim krokiem wszedł wezwany. Nerwowy dreszcz przebiegł ciało sędziego. Nic w postawie Jerzego Montin nie przemawiało na jego niekorzyść. Ukłonił się z wielką swobodą i spojrzał prosto w oczy sędziego, czekając na pierwsze pytanie.

Ale natychmiast pan Ginory uderzony został dziwnem podobieństwem jego postawy, do sylwetki, wywołanej przez Bernardeta.

Był pewnym, że to jest ten sam człowiek, tylko jasno i wyraźnie odcinający się na tle pokoju — podczas kiedy tamtego otaczała mgła jakaś, zacierająca kontury. Dłuższe zaś badanie twarzy tego, który stał przed nim, pozwoliło odkryć sędziemu wyraz brutalnej, żywiołowej siły, opanowanej wymuszonym spokojem i rozwagą.

Oczy patrzyły twardo z pod gęstych brwi, z pod brody, dosyć rzadkiej na policzkach, występowały silne muskuły twarzy, mającej w skrzywieniu specyalnem ust coś dzikiego i gwałtownego.

Ruchem ręki sędzia wskazał Jerzemu Montin miejsce i rozmowa rozpoczęła się poważna, lecz w tym tonie, jak gdyby ci dwaj ludzie spotkali się w salonie wspólnych ich znajomych. Po otrzymaniu kilku szczegółów, tyczących się prywatnego życia pana Rovere, sędzia zapytał:

— Czy znajomość pana ze zmarłym była ściślejsza?

— Tak, panie sędzio!

— I trwała od ilu lat?

— Od lat przeszło czterdziestu. Kolegowaliśmy razem w liceum w Bordeaux.

— Więc pan pochodzi z tamtych stron?

— Tak, jak i Rovere.

— W ostatnich czasach często się pan widywał ze swoim przyjacielem?

— Przepraszam pana, panie sędzio, ale co pan rozumie przez „ostatnie czasy"?

Pan Ginory był pewnym, że w tem zapytaniu odnajduje jakiś umyślny system odpierania jego własnych zapytań, lub też umyślną zwłokę, mogącą dać czas do namysłu.

— Miałem na myśli — odpowiedział swobodnie — ostatnie tygodnie, dni, jeżeli pan woli, które poprzedziły zbrodnię.

— Widywałem go dosyć często, rzeczywiście — odparł Jerzy Montin — a nawet w tych czasach częściej, niż kiedykolwiek.

— Dlaczego?

Jerzy Montin zdawał się namyślać.

— Nie mogę tego określić... Może to był przypadek... W wielkiem mieście tak się zdarza... Gubi się niekiedy swoich najlepszych przyjaciół z oczu na czas jakiś, potem ich się odnajduje znowu.

— Czy pan nie miał nigdy powodu ważniejszego do zerwania stosunków z panem Rovere? Żadnej przyczyny, prócz tej, o której pan wspomina?

— Żadnej!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Piąta pożyczka wojenna w Austryi.

Na murach miasta Krakowa pojawiła się odezwa następująca:

Do ludności kraju! Po raz piąty w czasie wojny światowej wzywa ojczyzna ludy swoje do subskrypcyi pożyczki wojennej. Silniejszą niż kiedykolwiek jest nasza ufność w ostateczne zwycięstwo naszej sprawy, a daremne są niestrudzone wysiłki naszych nieprzyjaciół i ich ciągłe pogróżki.

A idzie o rzecz niezmiernej wagi, o egzystencyę każdego z nas. Niechaj bowiem nikt z mieszkańców Galicyi nie zapomina, że przedewszystkiem sobie służy i całości swego dobytku, kto daje państwu to, czego ono potrzebuje do zwycięskiego zakończenia wojny. O tem winien każdy pamiętać: i ubogi i bogaty, przemysłowiec i robotnik, kapitalista i ten, kto rozporządza tylko drobnemi oszczędnościami, wielki posiadacz i mały gospodarz rolny, lekarz i adwokat, kupiec i urzędnik i każdy winien wziąć udział w subskrypcyi w miarę sił. Przytem nie jest to ofiarą. Bo w rzeczywistości nabycie pożyczki wojennej nie jest niczem innem, tylko najpewniejszą i najwyżej procentowaną lokatą kapitału. Żaden bowiem tutejszy, czy zagraniczny papier państwowy nie daje tak wysokiego dochodu. W czasie pokoju — jak się spodziewamy niedalekiego — okaże się niewątpliwie, że subskrypcya pożyczki wojennej jest aktem rozsądnej rozwagi, a to tembardziej, że jakieś zniżenie wysokiej stopy procentowej jest w każdym razie wykluczone.

Na polach bitwy stawiliśmy w ostatnich miesiącach skuteczny opór dobrze przygotowanym atakom armii nieprzyjacielskich. Rozległe ziemie nieprzyjacielskich krain dzierżymy silnie w naszem ręku, jako cenny zastaw przyszłości. Ale i finansowe pogotowie wojenne nie zawiedzie i nie powinno zawieść, gdyż bezwzględnie musimy wytrwać aż do chwili zwycięskiego pokoju. Jeśli każdy w miarę sił weźmie udział w subskrypcyi, spełznie na niczem ostatnia nadzieja naszych nieprzyjaciół zwalczenia nas na polu finansowem. Niedostatki i trudy, przewyższające niemal ludzką miarę, muszą znosić nasi synowie i bracia w polu w ciągu długotrwałej wojny. Aby ofiary te nie były daremne, jest bezwzględnym obowiązkiem każdego z nas, dać państwu konieczne środki do zwycięskiego zakończenia wojny. Każdy, choćby najmniejszy udział w subskrypcyi, przyczyni się do skrócenia wojny.

Niech więc każdy spełni swój obowiązek i spieszy subskrybować piątą pożyczkę wojenną.

C. k. namiestnik: *Diller.*

Z tygodnia.

Królestwo Polskie po manifeście listopadowym.

Postulaty Królestwa Polskiego w sprawie realizacyi manifestu z dnia 5. listopada zostały już skrystalizowane w uchwałach i rezolucyach, powziętych przez różne grupy i zrzeszenia polityczne. Wydział wykonawczy Rady narodowej w Warszawie przedstawił generał-gubernatorowi warszawskiemu cztery główne żądania, domagające się:

1) Utworzenia Rady Stanu w porozumieniu ze stronnictwami, zgrupowanemi w Radzie Narodowej.

2) Przyznanie Radzie Stanu także inicyatywy prawodawczej, oraz utworzenia w jej łonie departamentu dla spraw wojskowych.

3) Powołanie regenta z dynastyi katolickiej, zajmującej stanowisko przyjazne wobec polskiego narodu.

4) Utworzenia Rady Stanu, na podstawie aktu, polegającego na wspólnem porozumieniu obu mocarstw centralnych.

Polska Partya Socyalistyczna swoje postulaty określiła w wydanej odezwie, która, według doniesień pism krakowskich, zawiera następujące punkty:

„1) Klasa robotnicza gotowa jest bronić Polski i Litwy, by odeprzeć najazd rosyjski: ale proletaryat polski uczynić to może z poczuciem, że krew jego nie pójdzie na marne, jedynie w tym wypadku, gdy do walki powoła prawowity i posiadający zaufanie mas ludowych Rząd Narodowy;

2) Prawowity Rząd Narodowy istnieć może tylko z ramienia Sejmu ustawodawczego, wybranego przez powszechne, tajne, równe, bezpośrednie i proporcyonalne głosowanie;

3) W celu zwołania Sejmu i przeprowadzenia odpowiednich wyborów należy utworzyć Rząd tymczasowy, złożony z przedstawicieli żywiołów demokratycznych i niepodległościowych w społeczeństwie polskiem;

sprawę uregulowania bezrobocia, uruchomienia przemysłu, krajowych robót publicznych, weźmie na siebie Rząd Narodowy z chwilą, gdy obejmie całokształt władzy cywilnej w kraju".

Na okupacyi austro-węgierskiej postulaty społeczeństwa polskiego znalazły wyraz w deklaracyi lubelskiej, której treść podaje c. k. Biuro korespondencyjne jak następuje:

„Rozumiejąc akt z dnia 5 go listopada b. r., jako wyraz zgody obu rządów okupacyjnych na zrealizowanie postawionego przez naród polski postulatu niepodległości i stwierdzając, że dla podjęcia zadań i obowiązków oraz sprostania trudnościom, które stają przed nami, obejść się nie możemy bez prawnie obranego przedstawicielstwa i należycie upełnomocnionego rządu, uważamy dziś już, a to zwłaszcza wobec okoliczności zewnętrznych, za potrzebne, określić postulaty nasze jak następuje:

1) Sejm, powołany drogą wyborów powszechnych, przez ludność całego Królestwa Polskiego, posiadający całkowitą kompetencyę ustawodawczą z prawem inicyatywy, oraz zapewnioną wolnością obrad i decyzyi, reprezentuje interesy i wyraża wolę społeczeństwa polskiego na terytoryach, odebranych Rosyi w tej wojnie przez państwa centralne. 2) Rada Stanu, przez Sejm do życia powołana, jest jego organem dyplomatycznym i wykonawczym, przed Sejmem odpowiedzialnym, a zarazem do chwili ostatecznego zorganizowania państwa i utworzenia najwyższej władzy państwowej jedyną zwierzchnością kierowniczą, powstających stopniowo władz i urzędów. 3) Prowizoryczna Rada Stanu, mająca być powołana w najbliższym czasie, mieć winna za pierwsze zadanie zwołanie Sejmu w myśl powyższych zasad. 4) Sejm i rząd, nie odpowiadający zasadom powyższym, nie mogłyby być uznane za prawne przedstawicielstwo i własną organizacyę narodu. 5) Nieuniknione w dobie przejściowej uzależnienie częściowe kraju od mocarstw centralnych winno nie przekraczać granic, zakreślonych koniecznościami wojennemi, w żadnym razie nie może mieć charakteru podporządkowania jednemu tylko mocarstwu.

Za polski klub: Jan Stecki, Stanisław Śliwiński, Bolesław Sekutowicz. Za wydział narodowy: dr. Paweł Jankowski, Jerzy Mączewski, Przemysław Podgórski.

Sprawa polska w Sejmie pruskim.

Sprawą proklamowania niepodległej Polski zajmował się w tych dniach Sejm pruski. Przedmiotem obrad był wniosek konserwatystów i narodowych liberałów następującej treści:

„Sejm zechce uchwalić:

Proklamacya samodzielnego Królestwa Polskiego za zgodą i odpowiedzialnością królewskiego rządu pruskiego, bez dania Sejmowi sposobności wyrażenia zdania, oznacza krok, który narusza najżywotniejsze interesa życiowe państwa pruskiego. Sejm wyraża wskutek tego silne oczekiwanie, że przy ostatecznem uregulowaniu stosunków nowego państwa, które swe kulturalne i narodowe stosunki swobodnie będzie normowało, stworzone zostanie trwałe i skuteczne wojskowe, gospodarcze i ogólno polityczne zabezpieczenie Niemiec w Królestwie Polskiem. Sejm zastrzega sobie zajęcie, w miarę dalszego rozwoju stosunków, stanowiska wobec wszystkich kroków politycznych, dotyczących interesów pruskich pod danych, mówiących po polsku, ale już dzisiaj oznacza za niemożliwe wszelkie uregulowanie wewnętrznopolitycznych stosunków w marchii wschodniej niemieckiej, któreby mogło w jakikolwiek sposób na szwank narazić charakter niemiecki złączonych nierozerwalnie z państwem pruskiem i dla bytu i stanowiska mocarstwowego Prus i Niemiec nieodzownych prowincyi wschodnich".

Po uzasadnieniu tego wniosku przez posła Heydebrandta wywiązała się gorąca dyskusya, w której zabrał głos minister spraw wewnętrznych Loebel wykazując bezpodstawność obaw wnioskodawców.

Po kilku jeszcze przemówieniach zabrał głos p. Styczyński i złożył imieniem Polaków następujące oświadczenie:

„W pełni jesteśmi świadomi znaczenia historycznego chwili i w pełnej mierze czujemy ciężar naszej odpowiedzialności na długą przyszłość, a rozstrzyga się nie tylko los narodu polskiego, ale także stosunek narodu polskiego do narodu niemieckiego. Byłoby naszem życzeniem, byśmy wszędzie znaleźli tę świadomość i uczucie tej odpowiedzialności. Możeby wówczas nie był postawiony wniosek taki, jak obecnie. W każdym razie odrzucamy odpowiedzialność za następstwa dyskusyi nad tym wnioskiem.

Mimo przeszło stuletniego rozdziału w państwowe różne części składowe, naród polski nigdy nie stracił uczucia wspólności narodowej i prowadził ciężką walkę o wolność narodową. Ciągłe naruszania praw ludu do wolności narodowej były naszem przekonaniem jednym z zasadniczych powodów obecnej wojny światowej. Żywimy jednak nadzieję, że obficie przelewana w obecnej wojnie krew nie popłynie nadaremnie, jeżeli narody Europy wszędzie dojdą do przekonania, że wolność innych ludów nie sprzeciwia się interesom żywotnym własnego narodu.

Uznanie międzynarodowego znaczenia sprawy polskiej jest krokiem naprzód na drodze do jej ostatecznego rozwiązania, której konieczność obecnie sobie uświadomiono. Ta konieczność uzasadniona jest nie przykazaniem sprawiedliwości wobec narodu polskiego, lecz interesem międzynarodowym, jako ogólna gwarancya pokoju. Manifest Jego cesarskiej Mości, cesarza Niemiec i Jego cesarskiej Mości, cesarza Austryi, przepełnia nas zadośćuczynieniem, ponieważ powstał z świadomości tej konieczności i w zasadzie uznaje prawa narodu polskiego do utworzenia samodzielnego państwa.

Jednakże wniosek ten potwierdza podniesione z wielu stron wątpliwości i obawy, że tylko część narodu polskiego wejdzie w posiadanie wolności narodowej i że nawet u tej części wolność będzie nominalną. Wedle woli wnioskodawców, tworzących większość tej Izby, mają być tworzącemu się państwu polskiemu niebawem nałożone tak liczne więzy na polu wojskowem, gospodarczem i ogólno-politycznem, że jego wolność i samodzielność będzie tylko pozorną. Zresztą dalsza treść stojącego pod obradami wniosku udowadnia, że wnioskodawcy bezpośrednio odrzucają porozumienie między niemieckim a polskim narodem. — Jeżeli wnioskodawcy mówią o Prusakach, mówiących po polsku, zamiast o Polakach w Prusiech, to tem samem odmawiają nam naszej odrębności narodowej, a to w obecnej chwili musimy uważać jako prowokacyę. Jeżeli dalej wnioskodawcy już dzisiaj oświadczają, że nie jest możliwem żadne uregulowanie stosunków wewnętrznopolitycznych, które mogłyby naruszyć w jakikolwiek sposób charakter niemieckich prowincyi wschodnich Prus, to doświadczenia dziesiątek lat dostatecznie nauczyły, co to znaczy. Koniecznością ochrony rzekomo niemieckiego charakteru naszych ojczystych okolic uzasadniano wyparcie języka polskiego z urzędu, szkół i życia publicznego, a przeszło miliard marek z wspólnych pieniędzy państwowych użyto na trwałe wypieranie polskiej ludności z kraju; by chronić rzekomo niemiecki charakter części naszego kraju, nie dopuszczano Polaków do osiedlania się na własnym gruncie i nie zawahano się nawet wypędzić ich z własnej ziemi przez wywłaszczenie. Wobec tych niedwuznacznych tendencyi wniosku, zakładamy przeciw wnioskowi uroczysty protest. Zresztą stawiamy wniosek, by nad wnioskiem tym odbyło się imienne głosowanie".

Kalendarzyk.

22. listopada. Pogrzeb Henryka Sienkiewicza w Vevey.

24. listopada. Ustąpienie prezydenta rosyjskiego gabinetu Stuermera w związku z proklamowaniem niepodległej Polski.

26. listopada. Przekroczenie Dunaju w Rumunii przez wojska jenerała Mackensena.

Kronika tygodniowa.

Jak pech, to pech! Ilekroć coś wcześniej postanowię, później pokazuje się, że nadzwyczajne jakieś przeszkody stają mi w poprzek i ani rusz naprzód. Tak stało się i dziś, w poniedziałek, dnia dwudziestego siódmego listopada. Ze względu na ogłoszenie subskrypcyi na piątą pożyczkę wojenną miałem zamiar przedstawić Szan. Czytelnikom sytuacyę, jaką ona jest w rzeczywistości, to jest, iż stosunki układają się dla nas coraz pomyślniej, że więc należy pospieszyć państwu z materyalną pomocą jak najwydatniejszą, by w ten sposób przyczynić się też do doprowadzenia sprawy ogólnej ku zakończeniu, któreby nas zadowoliło. Wiadoma bowiem rzecz, że do prowadzenia wojny potrzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, jak to powiedział ongi pan, nazywający się Montecuccoli. Subskrybując więc pożyczkę wojenną, pomagamy tem państwu, które za granicą pieniędzy nie dostanie, a zarazem robimy dobrze dla samych siebie, żadne inne bowiem papiery publiczne tak wysoko nie są oprocentowane.

Jednem więc mówiąc słowem, miałem zamiar dać dziś wielkiego nurka w głęboką politykę i wszystko już z góry w niedzielę do mego popisu pływackiego przygotowałem, czekając tylko na ostatnie telegramy na własnym drucie, które zazwyczaj odbieram w poniedziałek rano. Jak zaś ów „własny drut" wygląda, przyznam się dziś, gdy mnie zawiódł.

Czytelnik niejeden i niejedna Czytelniczka myślą zapewne, że rozporządzam osobnym aparatem telegraficznym, naturalnie z drutem, skoro depesze odbieram „na własnym". Niestety, tak nie jest. Nie posiadam wcale żadnego aparatu i już dawno powiedziałem sobie te słowa, które ongi wypowiedział Marconi, gdy wynalazł telegraf bez drutu: „Do bani z drutem!..." Codziennie rano chodzę natomiast do trafiki i tam kupuję najświeższe pisma i tę to właśnie operacyę nazywam odbieraniem depesz na własnym drucie...

Otóż, ponieważ do dzisiejszej kroniki potrzebowałem najświeższych depesz, zrobiłem to samo, co zwykle, jakież przecież było moje zdziwienie, gdym żadnej gazety nie dostał!... Pytam o powód i dowiaduję się, że Inspektorat przemysłowy przypomniał drukarzom pewien paragraf ustawy, który wyraźnie powiada, że od szóstej rano w niedzielę do szóstej rano w poniedziałek każdy drukarz, choćby nawet miał ochotę do pracy, musi próżnować.

— Źle! — pomyślałem sobie — Wyschła krynica mych politycznych wiadomości. Zdaje się, będę się musiał zaciągnąć pod sztandar cechowy szewców, *recte* szpadałów i urządzać *blaumontagi*, skoro materyał do politycznej dyskusyi (najświeższy, nie odleżały!...) można zdobyć dopiero w poniedziałek popołudniu. Ponieważ jednak pan metrampaż twierdzi, że o tym czasie musi mieć już część kroniki złożoną, gdyż inaczej „spóźni numer", nie pozostaje mi nic innego, jeno polityce dać spokój, a pisać o czem innem, n. p. o pogodzie, aprowizacyi i tak dalej. Zwłaszcza o tej pierwszej pisać najwygodniej i najbezpieczniej, żadna bowiem wzmianka o niej nie ulegą dotąd konfiskacie, czego n. p. o aprowizacyi powiedzieć nie można.

Zaczynam więc od pogody, ale też zaraz i kończę, gdyż wiem, że zanim ta kronika dostanie się w ręce Czytelników, pogoda zmieni się przynajmniej ze trzy razy. O, bo jest ona zmienna, niczem, dajmy na to, kobieta!

Niedawno pisałem, że moja Weronika gniewa się ogromnie, ilekroć poświęcę jej w kronice gorących słów bodaj kilkoro, dziś widzę, że zmieniła zdanie. Ostatnia moja notatka, że kompetuje o godność prezesowej, ogromnie jej przypadła do gustu i teraz tylko tą myślą żyje, ofiarując wszystkie swe siły i zdolności, mózg, język i tak dalej na rzecz ogólnego dobra.

Jednem słowem, stała się, dzięki mnie, zapaloną społeczniczką (a wiadomo, że w starym piecu dyabeł pali!...) i już ją widzę, jak rozsiada się w fotelu radzieckim w pałacu Wielopolskich, jak tam zabiera głos (należeć będzie prawdopodobnie do grupy „dzikich"), jak jeździ prezydyalnym powozem na gumach, jak potem wyłazi z urny przy wyborach do Sejmu i Rady państwa... słowem, będzie wówczas wszystkiem, tylko nie żoną!

A tego się właśnie boję i już dziś zaczynam się uczyć przyszywać guziki, cerować skarpetki i inne części męskiej i damskiej bielizny, mam nawet zamiar zapisać się na kurs gospodarstwa domowego, by ją módz należycie zastąpić, gdy jej tu nie będzie.

Wszystko to więc, cały ten przewrót, zawdzięczać musimy tylko wojnie i teraz dopiero jestem w kłopocie, gdyż nie wiem, czy zapisać to na jej konto w rubryce „winien", czy też „ma". W jednej tylko sprawie mej nieocenionej Weroniki zastąpić nie potrafię, bo nie czuję się na siłach, mianowicie na saneczkach... Oświadczyła, że i ona musi iść za duchem czasu i nie myśli pleśnieć, czy butwieć (nie pamiętam już jak się wyraziła!...) między czterema ścianami, bo potrzebuje szerszych horyzontów... W tym celu sprawiła sobie już saneczki bardzo silnej konstrukcyi, by przypadkiem nie załamały się pod zbyt wielkim ciężarem, a obecnie przerabia moje stare myśliwskie inexprimable na sportowe hajdawery dla siebie. Przychodzi jej to łatwo, jesteśmy bowiem, jak na zgodne małżeństwo przystało, mniej więcej jednakiej tuszy. Skoro tylko większy śnieg spadnie, wybiera się na Sikornik, pierwsze próby ma odbyć na plantacyach.

Szczęśliwa jej droga!... A może... Ale nie uprzedzajmy wypadków, by potem nie doznać przykrego rozczarowania!

Wobec tego otrzymałem pozwolenie, a nawet rozkaz, bym o niej pisał jak najczęściej, jeśli się da, zamieścił też jej podobiznę, gdyż w ten sposób wzmoże się jej popularność, a o to najbardziej jej się rozchodzi, by ją znał każdy. Bo, jak tu potem głosować na nieznajomego, raczej nieznajomą?...

Ponieważ więc żona moja pracuje społecznie, przygotowując teren dla wybicia się na wierzch płci nadobnej, a reszta fraucymeru, to jest córki i służąca, stanowią przez cały ranek część składową „ogonków" przed różnymi sklepami, prędzej nawet, niż myślałem, przypadł mi zaszczyt pilnowania ogniska domowego, dmuchania w nie, ile sił starczy i przygotowywania posiłku dla siebie i całej kochanej rodziny. A mogę to tem łatwiej czynić, iż niedomagam nieco i przeważnie siedzę w domu. Pełnię więc z przyjemnością rolę Westalki i, niczem dawny alchemik, z warzechą w ręku kręcę się koło pieca.

A dziś dopiero widzę, że zajmowanie się kuchnią, to rzecz wcale nie łatwa, choćby tylko ze względu na owe dni bezmięsne i beztłuszczowe. Ani się spostrzeżesz, wpadnie komisya i już siedzisz w ulu.

Komisye są zaś nieubłagane i nie tak łatwo dadzą się przekonać, że n. p. chudą gęś magistracką wolno jeść w dzień bezmięsny bez obawy narażenia się na odpowiedzialność.

Ot, jednej z naszych pań, nie powiem jednak, jak się nazywa, zdarzył się niedawno brzydki bardzo wypadek. Mała przyczyna mogła mieć wielkie, a nawet nieobliczalne skutki!... W dzień bezmięsny, więc w poniedziałek, czy piątek, zjawia się w kuchni przedstawiciel władzy, rozgląda się wokoło, specyalną uwagę zwracając na piec kuchenny i wącha (a miał organ powonienia rozmiarów więcej niż przyzwoitych!...). Na piecu same niewinne potrawy, jakowaś ziemniaczana zupka, kaszka z masełkiem, naleśniki z marmoladą... Wszystko więc w porządku!... Ale powonienie pana komisarza drażni jakiś zaka zany zapach. Rejestrując w swym mózgu wrażenia, jakie się odbiera przy pomocy nosa, dochodzi do przekonania, że jest to kombinacya zapachu polędwicy wieprzowej z gęsią wątróbką... Pociąga nosem raz i drugi i jest już pewny, że się nie myli!... Zapytuje więc, radząc się przyznać do występku, gdzie są te zakazane potrawy. Gospodyni przysięga, że w całym domu niema ani kawałeczka mięsa, władza szuka, zagląda do rury, do pieca, pod piec. Ale nigdzie ani śladu!... W międzyczasie jednak, gdy pani domu drzwi od rury otwierała, a pan komisarz nos w tę zwrócił stronę, poczuł, że to rączki jej tak pachną, dowód więc niezbity, że dopiero przed chwilą, słysząc, że nadchodzi komisya, a chcąc uchronić się od odpowiedzialności, w pospiechu zjadła *corpus delicti*. Ale w jaki sposób to stwierdzić, w jaki sposób wymusić przyznanie się do winy? Trudno przecież przepłukiwać żołądek!

Władza swoje, jejmość swoje. Biedaczka, czując, że źle z nią, zaklina się na wszystkie świętości, iż mięsa od wczoraj w południe w ustach nie miała, skąd zaś pochodzi ten zapach, absolutnie nie wie.

— Przed chwilą myłam sobie ręce mydłem, kupionem niedawno w drogueryi — rzekła, chwytając się ostatniej deski ratunku — Chyba tutaj szukać przyczyny!

Władza pokiwała z niedowierzaniem głową, dla wyświetlenia jednak sprawy kazała sobie pokazać mydło odnośne, umyła sobie niem ręce, wytarła ręcznikiem, a potem powąchała.

— To okropne!... Jak Boga kocham, polędwica wieprzowa i gęsia wątróbka!.. Poznaję najdokładniej... Bardzo panią przepraszam, jest pani zupełnie niewinną... To jednak dziwne!... Skąd się tu wzięła polędwica wieprzowa i gęsia wątróbka?...

Otóż, dla wiadomości ogółu, aby ludziska łepet nad rozwiązaniem niepotrzebnie sobie nie łamali, dodam, że obie strony, to jest władza i gospodyni domu mieli słuszność. Władza, że czuje podejrzany zapach, gospodyni, że ona się tego nie dopuściła. Dziś robi się mydło z najrozmaitszych tłuszczów, więc i z odpadków kuchennych, szczególniej zaś w restauracyach może się łatwo zdarzyć taka kombinacya, jak resztek gęsiej wątroby i polędwicy wieprzowej. O ile zaś tłuszcz nie był należycie wytopiony, nawet po zmydleniu może pozostawiać pewną woń specyficzną, jak to było właśnie w tym wypadku.

Ale ma to także i swoje dobre strony, zwłaszcza na te ciężkie czasy. — Ze względu na umieszczone wyżej wyjaśnienie zrozumie każdy z łatwością, że obecnie można fabrykować mydło polędwicowe, gulaszowe, z gęsich wątróbek, z dziczyzny i t. p., ze względu na to, jakiego tłuszczu użyto do wyrobu. Ktoś, kto takiem mydłem mył sobie ręce, jeśli ma bodaj trochę bujnej fantazyi, skoro je tylko powącha, wyobrazi sobie, że dopiero przed chwilą jadł odnośną potrawę. Naturalnie, im „nobliwszy" tłuszcz, tem i cena mydła wyższa. Droższe musi być mydło z dziczyzny lub polędwicy, niż ordynarne, przeznaczone dla motłochu, n. p. mydło flakowe. Mydełka z gęsich wątróbek przeznaczone byłyby dla płci nadobnej. Należy się jednak strzedz, by nie kombinować zapachów, jak to miało miejsce n. p. w wyżej przytoczonym wypadku. — Nawet Sherlock Holmes miałby z tem wiele kłopotu, nim potrafiłby sprawę rozstrzygnąć.

I ani się spostrzegłem, a tu kronikę „domydlam" prawie do końca, a miałem kilku jeszcze sprawom poświęcić bodaj po kilka słów, skoro więcej nie można. Czy się to jednak uda, nie wiem.

Zaczynam (a może i skończę na nim!) od owego anonima, który podpisał się tylko „Omega". (Polskie „o" byłoby więcej mówiące!... *przyp. zecera*). Nawymyślał ów pan, który strzela zza płotu i redakcyi i drukarni (drukarzom n. p. kazał pójść psy łapać!...), zapomniał jednak, że to wojenne czasy, więc i farba i papier są najgorszego gatunku, a prosić się jeszcze trzeba, by i takie otrzymać. Niech nasze pismo cieszy się takiem poparciem ogółu, jak pisma czeskie i niemieckie, ukaże się i ono w innej szacie... Wymyślać i z błotem wszystko mieszać, to nie wielka sztuka, na to nie trzeba być wielkim (nawet krakowskim!) filozofem, jeśli zaś kto czuje w sobie reformatorskie siły, niech odkryje przyłbicę i niech przyjdzie do nas i nauczy, jak się pismo powinno redagować i jak drukować. Biurko w redakcyi i kaszta w drukarni stoją do dyspozycyi. Nauk chętnie posłuchamy i, jeśli będą co warte, zastosujemy się do nich. Prosimy bardzo!... Gotowi jesteśmy nawet zwrócić koszta jazdy tramwajem tam i z powrotem.

Ów jegomość, pan Omega, jeśli ma jakie wpływy, niech się postara, aby wojna już raz się skończyła, by ukwalifikowani drukarze wrócili z pola walki i zaczęli pracę, by fabrykacya papieru, farb, cynku i t. d. weszła na normalne tory, a ręczę, że zmieni zdanie i sam przyzna, że mu się *Nowości illustrowane* podobają. Weszło to jednak w naszą naturę, że nam się zawsze to lepiej podoba, co obce. Wszak już poeta powiedział: „Cudze chwalicie!..."

Jeśliby więc miał zamiar ów Pan postarać się o to, niechaj się łaskawie zgłosi do kronikarza, a ten udzieli mu rad ojcowskich, jak, gdzie i w co uderzyć, by był skutek, w każdym razie przecież, niech oduczy się pisania anonimów, bo to i nic nie pomoże i świadczy o brzydkim charakterze. Pięknie jest mieć swoje zdanie, ale trzeba też mieć i odwagę go bronić. Zza płotu lada ciura potrafi ustrzelić najdzielniejszego rycerza.

Zagadki do nagrody.

Przysłowiówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć, idąc trzy razy z góry na dół, po jednej literze i ułożyć z nich znane polskie przysłowie.

1) Pies psu ogona nie urwie.
2) Głupi daje, mądry bierze
3) Kto się lubi, ten się czubi.
4) Młode piwo szumi
5) Źle czesać, kiedy włosów niema.
6) Co ma wisieć, nie utonie.
7) Żaden jachtelem nie pije
8) Lepszy gil, niż motyl.
9) Mądry głupiemu ustąpi
10) Miłość bez pieniędzy, wrota do nędzy.
11) Lepsza łata, niż dziura.
12) Za prawdę ludzie giną.
13) Niema złego bez dobrego
14) Próżny żal po niewczasie.

Trójkąt magiczny.
Ułożyła Lila U, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego powieściopisarza.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□
```

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz 2. Roślina lekarska 3 Szczęśliwe zakończenie walki 4 Nazwisko hospodara wołoskiego 5 Prowincya francuska 6 Grecki śpiewak i muzyk. 7 Imię męskie 8 Litera grecka. 9 Jeden z żywiołów. 10. Przyprawa potraw. 11 Przysłówek. 12 Samogłoska

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Baba kata zaraz siadła na labirynt belek Stasi J.

Kwadrat magiczny.
Ułożyła Wanda U, Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a a a a
g g k k
t t w w

Znaczenie wyrazów: 1 Napój 2 Kamień szlachetny 3 Przyrząd mierniczy. 4. Gwałtowny napad

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Obie dziewczynki T i Ł siedzą na biesie gołębi

Łamigłówka.
Ułożył Iii Ey, Kraków

W miejsce kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o pewnem znaczeniu. Litery te, czytane z góry na dół, podadzą bardzo aktualne obecnie rozwiązanie.

R k
o a
a - y
b - k
A – a
k – t
E a
k t
O a
s – k
E a
o – a
O - a
w - r.

Okienko.
Ułożył Iii Ey, Kraków.

Podane litery w ten sposób uporządkować. aby powstały trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a e e e
e k k
k o o o o
o o r
r r r t w

Znaczenie wyrazów: 1 Gra w karty. 2. Przyrząd sportowy 3 Zatyczka.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył H. M., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Oby piła rżnęła mozaiki, walce i mace.

Bilety wizytowe.
Ułożył Iii Ey, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

C. ZULNICKA.

ANNA MILA PUKT.

KLARA BAKA.

MANIA KARTEK

MERY TEKA.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 47.

Okienko:

H e r b a t a
e a l
r n f
b a n d y t a
a y b
t t e
a l f a b e t

Zadanie do przestawienia: Cham chamem, na wieki wieków, Amen.

Trójkąt magiczny:

C z a j k o w s k i M i c h a ł
Z a c h a r y a s i e w i c z
A r c y b i s k u p s t w o
J a s n o w i d z e n i e
K i n e m a t o g r a f
O s z c z e r s t w o
W e t e r y n a r z
S a r a g o s s a
K a r n a w a ł
I n k a u s t
M a k a t a
I s c h l
C h a n
H a k
A r
Ł

Zadanie do przestawienia: Wolno panu, jako panu.

Logogryf:

M a g n o l i a
A l i k a n t e
E l ż b i e t a
T e o d o l i t
E m p i r y z m
R o z m a r y n
L e f e b v r e
I g r z y s k a
N o w y S ą c z
C h a r y b d a
K a r m a z y n

Zadanie do przestawienia: Im dalej w las, tem więcej drzew.

Logogryf:

P e n n y
r a d ż a
j o d ł a
o r z e ł
a s t e r
b r e w e
s z e w c
s o s n a
u k r o p
i n d y k

Rozsypane litery: Złość piękności szkodzi.

Bilety wizytowe: Włamywacz Piastunka Kwestarka Trubadur Inspicyent.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów. S. Bednarski Przemyśl, S. Jaśkiewicz Wiedeń. L Kozubski Wiedeń, M Wisłocka Tarnów, L. Serkowski Rzeszów, K. Doliński Kraków, J. Tubejska Zakopane, E. Winter Tarnów, A. Paliga Dąbrowa Górnicza

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Grodzicki, Praga.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki

Głosy publiczne.

Tydzień Czerwonego Krzyża, a opieka nad dziećmi. Z funduszów, zebranych w czasie Tygodnia Czerwonego Krzyża, przypada, jak wiadomo, jedna trzecia na cele Opieki nad dziećmi. Według ukończonych właśnie obliczeń centralnej kasy Krajowego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża we Lwowie, owa część wynosi 333 787 kor. 5 hal Suma ta przeznaczona do podziału na oba okręgi wyższych sądów krajowych t. j. lwowski i krakowski, oddana będzie do dyspozycyi biura Opieki wojennej dla Galicyi przy c k. Namiestnictwie.

Szczegóły zużytkowania tego funduszu, zasilonego w tak wydatny i nieoczekiwany sposób, dzięki akcyi Krajowego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża, zostaną wkrótce podane do publicznej wiadomości.

Kącik humorystyczny.

W buduarze.

Ona: Panie radco! Muszę panu coś ważnego pod największą dyskrecyą powiedzieć...

On (bankier): Zanim mi pani powierzy tę tajemnicę, proszę mi przedewszystkiem powiedzieć, ile to wynosi w walucie koronowej...

Kochający siostrzeniec.

Siostrzeniec: Więc nie ma żadnej nadziei, panie doktorze?

Doktór: Żadnej! Biedny wuj pański wkrótce zupełnie wyzdrowieje...

Dobra rada.

Córka: Mamo, jabym zemdlała, gdyby mi się oświadczył jaki młody człowiek.

Matka: Lecz nie zapomnij przedtem prędko mu odpowiedzieć: tak.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego